

cras. 2554/1987/4

MAANAM!

str. 10

- ▶ Bronisław Waligóra o upadku „Motoru” str. 4-5
- ▶ Magia ziół str. 9
- ▶ O japońskim tatuażu str. 8



Fot. — CAF Wojciech Frelek

Kora z zespołu Maanam

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Rok założenia 1933

kamena

NR 4 (749)

23 maja - 4 czerwca 1982

CENA 10 ZŁ

Książnica

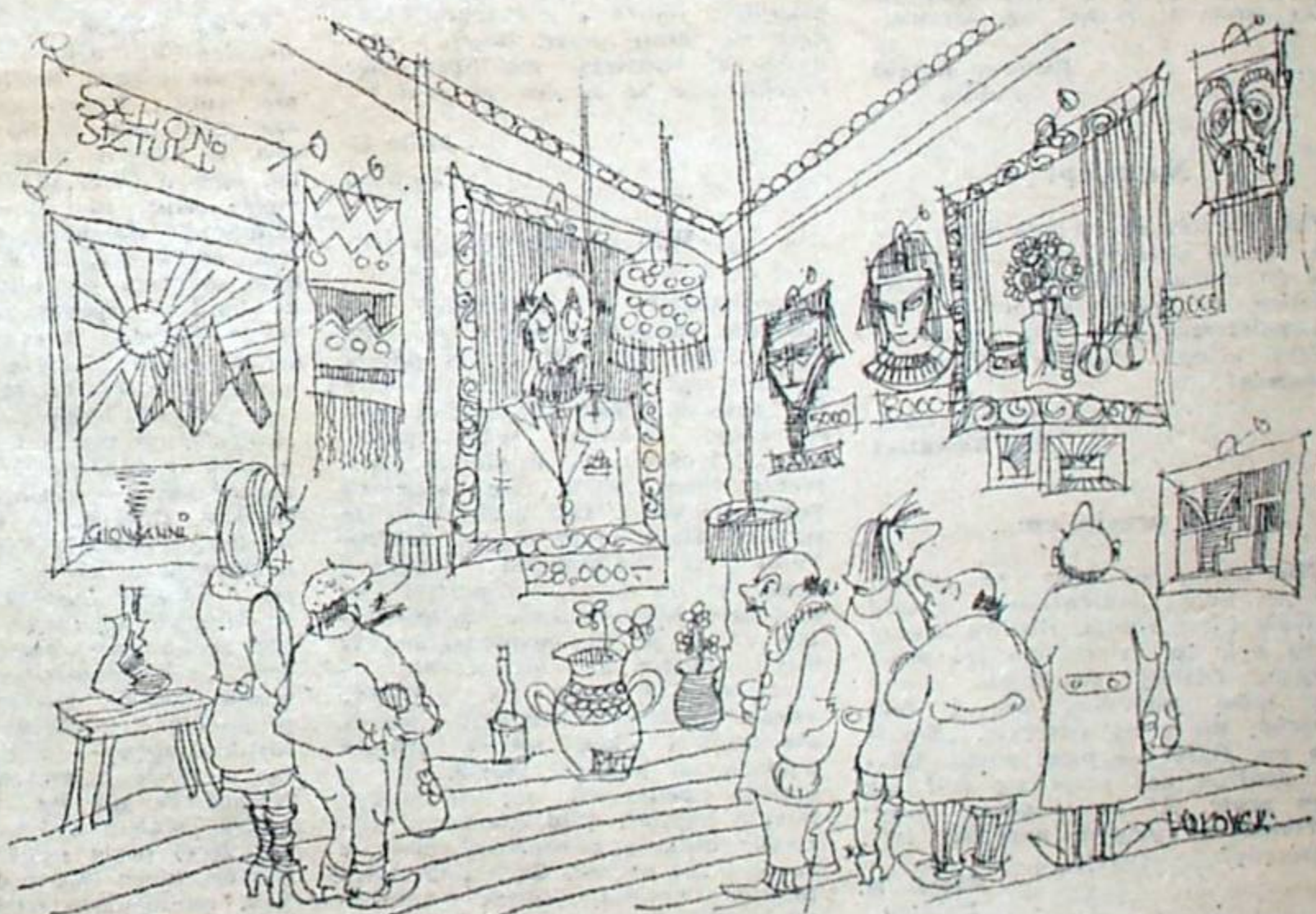
Lopacińskiego

Maciej Podgórski

BIBLIOTEKA im. Lopacińskiego powstała w czasach, kiedy ludzie jeszcze jako tako wierzyli w racjonalność świata i w to, że gdy człowiek się pouczy oraz poczyta, ma dobre. Odkryło się to wszystko, oczywiście, przed I wojną światową, a konkretnie 26 maja 1907 roku, kiedy kilku szlachetnych panów, powodowanych takimi przeświadczeniami, zebrało się na pierwszym organizacyjnym posiedzeniu Towarzystwa Biblioteki Publicznej im. Hieronima Lopacińskiego w Lublinie.

Człowiek, którego nazwiskiem ochrzczono pierwszorzędne to przedsięwzięcie, już wtedy nie żył. Nauczyciel gimnazjum lubelskiego, etnograf, filolog, historyk kultury, zbieracz muzealiów i bibliofil, miał Lopaciński podobno charakter trudny i nieco kostyczny, za to umysł — nadzwyczaj i dociekliwy, pracowitość — wprost mrówczą, osiągnięcia naukowe — w skali regionalnej, jak i krajowej — wybitne. Szeroko zakrojone swe prace historyczne traktował jako emigrację wewnętrzną, chroniącą go przed uderzeniami belferki w zrusyfikowanym gimnazjum, aczkolwiek zmarł już w epoce pewnej „odwilży” po patriotyczno-rewolucyjnych wydarzeniach 1905 roku. Mając za ledwie lat 46, w sierpniu 1906 roku zginął — jak byśmy dziś powiedzieli — w wypadku drogowym (konie poniosły i rozbiły bryczkę, którą jechał).

Dokończenie na str. 10



Rys. Józef Tarłowski

Sztuka w dobie kryzysu

WZNOWIŁ działalność Związek Polskich Artystów Plastyków, największe w kraju stowarzyszenie twórcze, liczące ponad 13 tys. członków. Jeśli jednak powiem po prostu, że dobrze się stało, to zaraz muszę zapytać: no i co z tego, skoro malarze, rzeźbiarze, architekci wnętrz i graficy nadal nie mogą spodziewać się poważniejszych zleceń na prace użytkowe, będące podstawą ich egzystencji? Takiej roboty nie ma i chyba nie będzie w najbliższych miesiącach, a może i latach, bo zakłady produkcyjne i instytucje — dotychczasowi kontrahenci artystów — mają dziś inne sprawy na głowie i gwałtownie redukują fundusze wydatkowane na reklamę, tzw. estetyzację pomieszczeń i kulturę w ogóle. Wołanie zaś o to, by rząd naklonił jakoś przedsiębiorstwa gospodarki narodowej do zrozumienia potrzeb bytowych plastyków, czy wręcz zmusił je odpowiednim przepisem prawnym do respektowania interesów tego wielkiego środowiska zawodowego — całkowicie mijają się z ce-

Ireneusz J. Kamiński

Dokończenie na str. 4-5

My od macochy?

W telewizji pokazano nam „Lekkomyślną siostrę” Włodzimierza Perzyskiego w reżyserii Stanisława Wieszczycyckiego. Kazimierz Pawelek stwierdził kiedyś, że wystawienie tej sztuki świadczy o lekkomyślności nie siostry, ale dyrekcji teatru. Pawelek jest jednak wielkim lubelskim kpiarzem i tylko niepoważni ludzie mogli te słowa potraktować poważnie.

O teatrze pisuję rzadko, chociaż kiedyś na tych łamach wybrzydzałem nad polityką repertuarową Kazimierza Brauna, który przed laty (jak ten czas leci!) eksperymentował w naszym mieście. Było, minęło, zapewne nie zawsze miałem rację, ale felieton rządził się swoimi prawami, trzeba umieć go czytać, a nie kierować się emocjami.

Obecny dyrektor teatru — cały czas mam na myśli Teatr im. Juliusza Osterwy w Lublinie — Ignacy Gogolewski konsekwentnie trzyma się ziemi, prezentuje pozycje sprawdzone, ale jednocześnie dba o to, aby repertuar był w miarę zróżnicowany, by każdy widz mógł w nim znaleźć coś dla siebie.

Dosyć jednak na ten temat, bo wchodzę na podwórko Marii Bechzyce-Rudnickiej, która ostatnio nieco choruje i stąd też brak w „Kamieniu” recenzji teatralnych.

Listy do „Kamienia”

Co dalej?

Przeczytałam rozmowę z p. Cwikłą, wydrukowaną w pierwszym numerze „Kamienia”. Podziwiam p. Cwikłę za to, że nie zmienia poglądów, byłabym jednak ciekawa, jak wyobraża sobie pracę wznowionych związków zawodowych? Bo związki zawodowe przed czy później muszą zostać wznowione, a lepiej, by się stało to jak najszybciej, bo życie nie znosi próżni. P. Cwikła wydaje się jednak nie lubić inteligencji. Jego prawo, ale inteligencji nie można wrzucać do jednego worka. Ostatnio inteligencja jakby przycichła... Och, mimo woli popełniłam ten sam błąd, co p. Cwikła. Poprawiam się więc: część inteligencji. Proponuję, by „Kamień” zaprosił kilku panów z cenzurą i szczerze pogwarzyła przy kawie, albo przy herbacie, a potem coś na ten temat napisała. Może wówczas i inni się odezwą.

Barbara Kowal
Lublin

Na urlop!

Pan Cwikła chyba oficjalnie zawiadomiał kadre dziennikarską, bo spotkać go można ostatnio wszędzie. Odnoszę wrażenie, że zaczyna się już powtarzać... Proponowałbym krótki urlop. Morskie powietrze odświeża!

Na przykład:
Jan Kowalski

Nie przebojem...

Nie wiem, jak było na górze, ale na dole „Solidarność” czegoś chciała i coś robiła. Błądem naszej góry było to, że chciała iść przebojem. Dzisiaj przebojem może być tylko piosenka, ale i taki przeboj nie trwa wiecznie. „Smutek mi, Boże” — pisał poeta. Wiele spośród nas czuje się dziś jak ten poeta. A inny poeta pisał: „Trzeba z żywymi naprzód iść”. Którędy?

Bożyl H.
Puławy

Złote góry I...

„Kamień” po wznowieniu stała się bardziej atrakcyjna, każdy znajdzie tu coś dla siebie. Niem-

cewicz znakomity! Gdzie można tę książkę przeczytać w całości? Dawno już się tak nie uśmieiałam, jak przy tej lekturze. Miałabym jednak propozycje, abyście się bardziej zajęli młodzieżą... Do mojej córki przychodzą z wizytą koleżdy, rozmawiam z nimi. Jakież zamęt mają oni w głowach! Przecież nie zbudujemy jednej Polski dla starych, którzy doświadczają, i to smutnych, mają po uszy, i drugiej dla młodych, którzy chcieliby urządzić świat po swojemu. Prawda, my, starzy, też zawiniłiśmy, bo obiecywaaliśmy tym młodym złote góry. Góry są, nie złote jednak, a lodowe. Czasem w nocy długo nie mogę zasnąć i tak sobie myślę. Mam mieszkanie urzędowe, mam telewizor, mam lodówkę, mam pralkę automatyczną. Żyję skromnie, ale jakoś wiąże koniec z końcem. Kiedy moja córka za rok, dwa, zechce się urządzić, to przyjdzie jej to z większym trudem niż mnie przed laty... Jedyną jej nadzieją ma być tożsamość i oczekiwanie na spadek po mnie?

Zofia G.
Zamość

Wióry leciały!

Przeczytałem w „Kamieniu” wy-nurzenia gasterbeitera (nr 1), który pojechał do RFN i tam gdzieś się zahaczył. Ja też byłem w RFN na „saksach”. Bez znajomości niemieckiego trudno sobie poradzić... i aż coś się w głowie przewraca, kiedy widzi się wystawy pełne towarów. Dla mnie było to lizanie cukru przez szybę. Jadłem bułki i w najlepszym wypadku zupę raz na dzień, by portfel po powrocie był możliwie najlżejszy. Ja to ja, ale spostrzegłem, że miejscowi też są niezmiernie oszczędni. Nie kupią na przykład paczek papierosów za trzy marki, ale tytoń i gilzy, wtedy paczka wypada po półtora marki. I co jeszcze rzuciło mi się w oczy? Drogie książki. Widziałem na wystawie albumy z reprodukcjami w cenie i 200 marek. Zachodnich! Na targach umieją jednak handlować. Kto kupuje pół kilograma pomarańczę płaci, już nie pamiętam, ale chyba półtora marki. A kto kupuje cały kilogram — płaci dwie i pół marki. Zyskuje, ale sprzedawca szybciej pozbywa się towaru. Kartofle są niewiele tań-

sze niż pomarańcze, a droższe od winogron. Oszaleć można, kiedy się porównuje ceny... Policja zachodniemiecka jest uprzejma, ale stanowcza. Kiedy była manifestacja na lotnisku we Frankfurcie, a chodziło o poszerzenie pasów startowych, to się z nikim nie cackano. Wióry leciały... Młodzież w Niemczech Zachodnich narzeka, że nie ma przed sobą żadnej przyszłości, że starzy wszystkie miejsca zajęli i nikogo nie dopuszczają. Ale młody po maturze nie chce iść do pracy fizycznej, bo od tego są gasterbeiterzy. A gasterbeiterzy biją się o pracę nawet na noże, jeden drugiego ka-bluje, zwalusza jeśli ten drugi pracuje na czarno, czyli bez pozwolenia. To jest prawdziwy Meksyk!

Jerzy Z.
Warszawa

O relaks w prasie

Kiedy miałem 12 lat, bardzo chciałem być dziennikarzem. Nic z tego nie wyszło, wcale dzisiaj tego nie żałuję, bo nie umiałbym zaw-sze pisać tak, jakby chciała władza, a władza chyba nie chciała, bym z kolei ja pisał tak, jak myślę. Ale to mało ważne... „Kamień” dawniej nie czytywałem, bo w moim mieście jej nie było, dopiero po przeniesieniu się do Lublina wpadła mi ona w ręce... Bardzo trudno redagować dzisiaj pismo. Ludzie chcą teraz mniej polityki, bo ta polityka wyszła już nam bokiem. Ludzie — piszę „ludzie”, bo myślę i o moich znajomych, z którymi i na te tematy rozmawiam — szukają w prasie relaksu. Dobrze, że drukujecie tę Barbarę Radziwiłłównę i tego Niemcewicza, dobrze, że napisaliście o „Budce Suflera”. To się czyta. Wiersze są różne, ja się poezją nie zachwycałem, ale skoro pismo jest „społeczno-kulturalne”, nie można zrażać poetów. Co bym proponował? Więcej materiału historycznych — z ostatniej wojny, a także z przeszłości Lublina. Krzyżówka też by się przydała, jakieś „Kulisy sero” też, no i niech najwięcej piszą sami ludzie, czytelnicy, niech Wam coś narzucają! Tak, narzucają! Ostatecznie za 10 złotych mają ku temu prawo!

Zbigniew Orzechowski
Lublin

OD REDAKCJI: Dziękujemy. Pomysłimy. A Wy piszcie!

PRZECZYTALIŚMY — PRZECZYTAJCIE

Uczennica piątej klasy jednej ze szcze-cińskich szkół w miniony czwartek, po lekcjach, jak zwykle przyszła do swojej mamy do biura. Tym razem jednak zjawiła się nieco wcześniej niż to wynikało z ilości zajęć w szkole, przewidzianych na ten dzień. Dziecko zaczęło tłumaczyć mamie, w obecności pracowników biura, swój wcześniejszy powrót ze szkoły. Pozwolę sobie przytoczyć tę relację w miarę wiernie.

„Pani zwołowała nas z lekcji i kazwała iść do domu. Powiedziała, żebyśmy nie chodziły po ulicach, bo milicjanci łapią dzieci. Łapiają dlatego, żeby rodzice zapłacili po 5 tys. złotych za szkody, jakie w mieście zrobiono. Pani powiedziała, że milicjanci na pewno łapiają dzieci, bo tak jej powiedział pan z „Solidarności”. A jak mówi ktoś z „Solidarności”, to na pewno jest to prawda”.

Tyle relacji. Moim zdaniem nauczycielka niezbyt się popisała. Osiągnęłaby zapewne większy efekt, gdyby powiedziała swoim uczniom, że milicjanci po złapaniu dzieci wysysają im na przykład krew. Wtedy dopiero zniszczyłyby w nich prawdziwą grozę.

Mam nadzieję, że incydentalny to przypadek i w żadnym razie nie jest moją intencją uogólnianie go. Spójrzmy jednak na poważnie. Być może, że relacja dziecka nie oddaje ściśle tego, co mówiła nauczycielka. Piszę o tym dlatego, bo jestem przekonany, że gdyby owa pani o to zapytała, to zapewne kategorycznie stwierdziłaby, że mówiła inaczej, tylko dzieci zle ją zrozumiały i wszystko pokreśliły.

Gdyby nawet tak było, to według mnie ta pani nie ma żadnych kwalifikacji na nauczycielkę. Bo żaden to nauczyciel, który nie potrafi rozmawiać z dziećmi tak, aby go dobrze rozumiały. Chociaż osobliwie wątpliwe, aby dziecko przekreśliło słowa pani. Raczej skłonny jestem wierzyć temu, że przekazało je bardzo wiernie. („Sok” w „Głosie Szczecińskim”, nr 80).

„...Za wiele dróg pracy partyjnej prowadził do tej pory przez dyrektorskie gabinety, czy małe sale konferencyjne — za mało natomiast przez tłoczne sale zebrań. Dokąd z tą szkodliwą polityką nie zerwiemy, dokąd POP nie zacznie tęcić pełnym życiem partyjnym — dotąd nie wyjdziemy z zakłętą kręgu, który określamy jako oderwanie się „góry” od „dolów”.

Wszyscy członkowie partii mają jednakowe prawa i obowiązki, a im ktoś zajmuje wyższe stanowisko w hierarchii partyjnej i służbowej, tym bardziej rygorystycznie trzeba je od niego egzekwować. Może to robić środowisko, które daną osobę zna, wie, jakie zajmuje stanowisko, nie tylko na trybunie, ale i w życiu codziennym...]

Zbyt często zebrania zwolowane były tylko po to, by zapoznać towarzyszy z decyzją gotową i obowiązującą. Jeśli wywołała ona wątpliwość, to z góry wiadomo było, że głos jawnego sprzeciwu zostanie przez kogoś „podsumowany”. W ten sposób na jednym biegunie rodziła się deklaracyjność, na drugim — kształtowała się sztuka pośredniego, „bezpiecznego” wyrażania krytyki...]

Swobodna wymiana zdań, zapamiętanie i opinii stanowi nie alternatywę, lecz podstawowy i konieczny warunek przestrzegania zasad demokracji wewnątrzpartyjnej, lenińskich norm życia partyjnego...]

Często zdarza mi się spotkać ludzi, którzy prywatnie, w nieobowiązującej rozmowie, wyrażają śmiałe poglądy. Ale jeśli dojdzie do tego, że muszą zająć oficjalne stanowisko, to natychmiast uszytyniają się, zamieniają front o sto osiemdziesiąt stopni. Potem wyjaśniają, że w życiu każdy jest tylko człowiekiem...]

Ktoś, kto dla nagrody czy uścisku dłoni przez „szefa” gotów był sprzeniewierzyć się uznawanym zasadom ideowym i moralnym — winien stanąć pod prelegiem opinii publicznej. Stosunki społeczne nie mogą być zdominowane przez ludzi o negatywnej motywacji działania. Odwaga, dawanie świadectwa prawdzie musi poplácać. Inaczej być nie może w partii, która ma kształtować idealami humanizmu socjalistycznego. Innych postaw nie da się pogodzić z przynależnością do partii...” (Henryk Zyskowski w „Głosie Wybrzeża”, nr 81).

KRONIKA

• Nadwyżka przychodów pieniężnych ludności nad wydatkami w Lubelskiem wyniosła w pierwszym kwartale bieżącego roku 1,2 mld zł, czyli bardzo dużo. Nie wpływa to dodatnio na stabilizację rynku. Pamiętajmy jednak, że wprowadzanie reformy gospodarczej, która powinna racjonalizować sytuację, to proces długotrwały z natury

wskazuje, że liczba ta wzrosła już w najbliższych tygodniach.

• „Scholares Minores Pro Musica Antiqua” oraz „Szczygielki” to zespoły wokalne, skupiające — jak wiadomo — uczniów Zbiorczej Szkoły Gminnej w Poniatowej i prowadzone przez Danutę oraz Witolda Danilewiczów. Ostatnio młodzi wokaliści znów świetnie spisałi się za granicą, tym razem na IV Festiwalu Dziecięcym w Turcji. Będą dzieciaki miały go wspominać, kiedy dorosną. Ciekawi nas przy tym, czy po ukończeniu tej szkoły mają możliwość kontynuowania swoich zainteresowań.

• 10 szkół i 25 przedszkoli brakuje obecnie Lublinowi do sensownego zaspokojenia społecznych potrzeb oświatowo-wychowawczych. Na remonty w tym zakresie przydałoby się 100 mln zł, a jest 27 — według sta-

nych om Beżac, oczywiście. W następnym nr. „Kamienia” opublikujemy artykuł o tym, jak ciekawo w szkołach wpływa na procesy wychowawcze.

• 20 lat, 1700 czytelników i 39 m kwadr. powierzchni Biblioteki na Cieshowie, w której to dzielnicy mieszka już przeszło 50 tys. obywateli. Owszem, mamy kryzys, dziesiątki elementarnych potrzeb do zaspokojenia, ale nie zwalniają wszystkich na ciężkie czasy w momencie odsyłania kultury na koniec społecznej kolejki po różne dobra?

Numer zamknięto 12 maja.

DOMINACJA układu branżowo-gałęziowego w systemie funkcjonowania gospodarki powodowała, że pozycja organów władzy i administracji terenowej była zbyt słaba, żeby zapewnić samorządność lokalną i harmonijność rozwoju regionów. Niezbędne jest obecnie takie ukształtowanie stosunków w układzie: organy centralne — organy terenowe (jako całość) — organizacje gospodarcze, które gwarantowałyby samorządność lokalną w dziedzinie społeczno-gospodarczej, jak również samodzielność przedsiębiorstw.

Zasadniczym warunkiem samorządności lokalnej i samodzielności przedsiębiorstw jest likwidacja centralizmu biurokratycznego, tj. centralistycznego, nakazowo-rozdzielczego systemu kierowania państwem i gospodarką socjalistyczną. Niezbędne jest więc dokonanie zasadniczych przekształceń w planowaniu społeczno-gospodarczym, budżetowym i przestrzennym. Powinny one stworzyć podstawy do samodzielnej działalności planistycznej organów władzy i administracji terenowej, podporządkowanej potrzebom rozwojowym danego terenu, zwłaszcza w dziedzinie lokalnej infrastruktury społecznej i technicznej. Zakładana w „Kierunkach reformy gospodarczej” autonomizacja planowania terenowego wymaga, aby obecne dyrektywne powiązania między planem centralnym a planami terenowymi zostały zastąpione różnymi formami dobrowolnego udziału organów władzy i administracji terenowej w planowaniu gospodarczym. Spójność planu centralnego i planów terenowych oraz ich kierunkową zgodność zapewnią rozwinięte więzi informacyjne, umowne warunki realizacji inwestycji centralnych i stosowanie przez centralne organa państwowe zróżnicowanych uprawnień fiskalnych, dotacji budżetu centralnego, a także innych narzędzi ekonomicznych. Praktycznie rzecz biorąc, w gestii organów centralnych pozostaną dwa główne instrumenty kształtowania tempa i kierunków rozwoju regionów na okresy wieloletnie: a) kształtowanie poziomu i struktury nakładów na inwestycje centralne; b) określanie i przyznawanie środków wyrównawczych (dotacji) z budżetu centralnego dla budżetów wojewódzkich na inwestycje rozwojowe, szczególnie w zakresie lokalnej infrastruktury społecznej i technicznej.

Władze terenowe występować będą wobec władz centralnych w roli reprezentantów przestrzenno-ekologicznych i społecznych aspektów gospodarowania.

Tak więc decyzje co do zakresu planów i metod planowania podejmowane będą samodzielnie przez właściwe organa przedstawicielskie, które uchwalają i kontrolują wykonanie planów. Nie będzie ani możliwości, ani potrzeby wkraczania przez centrum w sferę bieżącej działalności gospodarczej organów terenowych regulowanej ich autonomicznymi planami rocznymi i wieloletnimi.

Podstawowym planem rozwoju społeczno-gospodarczego terenu powinien być plan 5-letni, zawierający dwie części: plan kompleksowy i plan rozwoju gospodarki terenowej.

Plan kompleksowy obejmowałby główne cele rozwoju realizowane przez wszystkie podmioty gospodarujące na obszarze działania rady narodowej.

Zwiększenie samorządności organów terenowych w sterowaniu rozwojem społeczno-gospodarczym nie może sprzącać partykularyzmowi regionalnemu. Wymaga to wykształcenia odpowiednich instrumentów integracji międzywojewódzkiej, a przede wszystkim rozwinięcia i udoskonalenia funkcji koncepcyjno-strategicznej centralnego planifikatora w układach makroregio-

nalnych. Stanie się to bardzo ważne w sytuacji, kiedy centrum polityczno-gospodarcze nie będzie mogło już spełniać funkcji mobilizująco-egzekwującej wobec gospodarki socjalistycznej.

Idzie tu o zwiększenie roli zespołów planowania makroregionalnego.

Szczególnie ważnym celem planowania rozwoju gospodarki terenowej stawać się będą zmiany strukturalno-jakościowe w produkcji i usługach, zapewnijące lepsze ich dostosowanie do zmniejszającego się poziomu i struktury lokalnego popytu efektywnego, a w konsekwencji również potrzeb. Dlatego też najważniejszym zadaniem planowa-

prezydent i naczelnik mają wyłączne prawo wydawania decyzji administracyjnych, czy też terenowymi organami administracji państwowej o kompetencji szczególnej mają być kierownicy wydziałów, a wojewodowie, prezydenci i naczelnicy — tylko szefami administracji ogólnej. W „Założeniach do projektu ustawy o radach narodowych” ta druga koncepcja została sformułowana w następujący sposób: „Na szczeblu wojewódzkim oraz w dużych miastach i dzielnicach organem administracji terenowej o kompetencji szczególnej, odnoszącej się do określonej dziedziny spraw, jest kierownik wydziału (referatu). Organa administracji o kompetencji szczególnej są pod-

ne, będą w nowym systemie posługiwać się instrumentami pośrednimi, określonymi często mianem ekonomicznych czy parametrycznych; bezpośrednio, nie będącymi jednak ani zadaniami dyrektywnymi ani limitami środków; organizacyjnymi, w tym uprawnieniami w zakresie polityki wobec kadr kierowniczych organizacji gospodarczych.

Szeroka gama instrumentów umożliwi terenowym organom państwowym kształtowanie tempa i kierunków rozwoju regionów zgodnie z potrzebami efektywności i harmonijnego rozwoju. Idzie obecnie o to, aby kadry kierownicze terenowych organów państwowych, jak również przedsiębiorstw i innych organizacji gospodarczych, posiadały w jak największym stopniu znajomość i umiejętność posługiwania się tym instrumentarium, a szczególnie narzędziami ekonomicznymi. Niezbędne jest więc powszechne i gruntowne przeszkolenie kadr kierowniczych w zakresie nowych mechanizmów funkcjonowania gospodarki.

Dobór instrumentów oddziaływania państwowych organów terenowych na organizację gospodarczą powinien być zróżnicowany w zależności od tego, czy chodzi o lokalne organizacje użyteczności publicznej, dla których organami założycielskimi są rady narodowe; inne organizacje gospodarcze zakładane przez rady narodowe; pozostałe organizacje gospodarcze.

Jeśli idzie o lokalne organizacje użyteczności publicznej, to państwowe organa terenowe, zwłaszcza stopnia podstawowego, powinny mieć znaczną gestię w zakresie ustalania zasad ich funkcjonowania, ponosić określoną odpowiedzialność za ich rentowność i mieć w tym szczególny interes finansowy.

Pewne elementy koncepcji reformy gospodarczej w układzie terenowym przedstawiła grupa robocza IX Zespołu Komisji ds. Reformy Gospodarczej.

W „Tezach w sprawie funkcji gospodarczych samorządu terytorialnego” wychodzi się z założenia, że harmonijne kojarzenie interesów ogólnogospodarczych i lokalnych może zagwarantować jedynie taki system, w którym oprócz państwa funkcjonuje samorząd terytorialny. Państwo uwolnione byłoby od pewnych funkcji gospodarczo-organizatorskich, to jest od obowiązku zaspokajania potrzeb społeczności podstawowych jednostek struktury terytorialnej kraju.

Samorząd terytorialny miałby odrębną w stosunku do państwa podmiotowość administracyjno-prawną (tzn. realizowałby zadania publiczne we własnym imieniu) i osobowość prawną (prawo do dysponowania majątkiem). To ostatnie implikuje istnienie własności komunalnej, która wraz ze spółdzielczością stanowiłaby podstawę rozwoju gospodarki terenowej.

Sensem własności komunalnej jest to, że zarządzanie należy do organów samorządu terytorialnego (lokalnego). Wprowadzenie własności komunalnej stworzyłoby trwałe podstawy gospodarki terenowej i jej samofinansowania.

W okresie PKWN istniał samorząd terytorialny. Idzie obecnie — jak stwierdza się w „Tezach” — o jego odrodzenie zgodnie z odpowiadającą polskim tradycjom formułą.

Formy i zakres samorządu społecznego czy terytorialnego określone zostaną w nowej ustawie o radach narodowych i samorządzie terytorialnym, która powinna być zgodna z zasadami i kierunkami realizowanej już reformy gospodarczej.

Reforma a samorządność lokalna

Romuald Poliński

nia terenowego jest przełamywanie barier wzrostu produkcji i rozwoju przedsiębiorstw.

Urzeczywistnienie samorządności lokalnej wymaga zmiany nie tylko relacji: organa centralne — organa terenowe, ale również relacji: organa wojewódzkie — jednostki podstawowe (gminne, miejskie). Idzie tutaj o zdecydowaną decentralizację środków i uprawnień ze szczebla wojewódzkiego na szczebel jednostek podstawowych m.in. poprzez eliminację szczebli pośrednich (monopoli), tj. wojewódzkich zjednoczeń, zarządów i dyrekcji.

Postulowane zwiększenie efektywności oddziaływania terenowych organów władzy i administracji państwowej na rozwój społeczno-gospodarczy terenu wymaga m.in. zmiany statusu szefa administracji ogólnej (wojewody, prezydenta, naczelnika). W obecnym systemie szef administracji ogólnej jest jednoosobowym organem wykonawczym i zarządzającym rady narodowej, a zarazem organem administracji terenowej spełniającym funkcje kierowniczo-koordynujące i kontrolne wobec innych terenowych organów administracji, przedsiębiorstw i zakładów terenowych oraz podległych radzie narodowej instytucji. Szef administracji ogólnej ponosi z tego tytułu indywidualnie odpowiedzialność za wszystkie czynności i zaniechania w zakresie swojego działania, jak również za wykonywanie obowiązków przez siebie podległych pracowników. Oznacza to, że spełnia funkcje zarówno w zakresie spraw ogólnych, jak resortowych, przy pomocy urzędu terenowego oraz powołuje i odwołuje kierowników wydziałów (referatów).

Kontrowersje budzi dylemat, czy terenowe organa administracji państwowej mają pozostać organami monokratycznymi, co oznacza, że wojewoda,

porządkowane szefowi administracji ogólnej. Organa te w zakresie realizacji zadań o znaczeniu ogólnopaństwowym podlegają także odpowiedniemu organowi resortowemu wyższego stopnia”. Kierowników wydziałów powołuje i odwołuje szef administracji ogólnej po zasięgnięciu opinii właściwej rady narodowej.

Za powyższym rozwiązaniem przemawiają głównie takie względy, jak właściwe umiejscowienie odpowiedzialności za podejmowane decyzje administracyjne i inne oraz konieczność zapewnienia fachowości. Dotychczasowy system upoważnienia przez terenowy organ administracji państwowej (wojewodów, prezydentów, naczelników) podległych pracowników (kierowników, dyrektorów) do wydawania w jego imieniu decyzji administracyjnych stwarzał fikcję co do fachowości rozstrzygnięć określonych spraw, a także poważnie wydłużał tok podejmowania decyzji w żywotnych dla obywateli i rozwoju terenu sprawach społeczno-gospodarczych.

W warunkach reformy gospodarczej — relacji między terenowymi organami władzy i administracji państwowej a organizacjami gospodarczymi nie można już sprowadzać do tradycyjnego, bezpośredniego zarządzania przez te organa podporządkowaną im służbowo i wyodrębnioną organizacyjnie „gospodarką terenową” objętą dyrektywnym (nakazowo-rozdzielczym) „planem terenowym”. Byłoby to sprzeczne z literą i duchem dwóch ustaw z 25 września 1981 r., inicjujących i stanowiących fundament reformy: ustawy o przedsiębiorstwach państwowych i ustawy o samorządzie załogi przedsiębiorstwa państwowego, a także z innymi ustawami reformującymi gospodarkę narodową.

Organa władzy i administracji państwowej, podobnie jak organa central-

NIECODZIENNY JUBILEUSZ

DWAJ „kapitanowie”, „Młodość”, „Doktor Własienkowa”, „Poszukiwania i nadzieje”, „Nieznany przyjaciel” — to tytuły niektórych tylko powieści z bogatego dorobku bardzo popularnego w ZSRR prozaika Władimira Kawierina, którego 80 rocznica urodzin została przy pracy nad kolejną książką. Nosić ona będzie dość enigmatyczny tytuł „Mała opowieść z prologiem i epilogiem”. O tematyce swego nowego utworu mówi Władimir Kawierin w wywiadzie dla czasopisma „Sowietskaja Kultura”:

— Wspominając moje długie życie, doszedłem do wniosku, że właściwie prawie wcale nie poruszyłem tak przecież ważnego i znaczącego okresu historii, jakim były lata wojny, kiedy to byłem

korespondentem wojennym TASS-a, a potem „Izwestii”. Przeglądając swoje notatki z tamtych lat, byłem zdumiony: tyle materiału niewykorzystanego, zapomnianego... Czynnikiem hamującym była ta świadomość, że skoro o wojnie napisano już tyle interesujących rzeczy, powiedzcie więc coś nowego na ten temat jest zadaniem wielce trudnym i złożonym. Ale — pomyślałem sobie jednocześnie — czymże jest praca pisarza, jak nie pokonywaniem piętrzących się trudności i zwątpień. I wziąłem się, fachowo mówiąc, do obróbki materiału... Akcja powieści toczy się w Moskwie, Permie i na dalekiej północy. Głównym jej bohaterem jest korespondent wojenny, który zamierza zostać pisarzem. Chciałbym przy okazji wyjaśnić

dziwaczny na pozór tytuł utworu — dlaczego „Mała opowieść z prologiem i epilogiem”? Otóż opowieść, jak to opowieść: musi mieć interesującą fabułę, wartką akcję. I taką chciałbym ją widzieć. A prolog i epilog — to już konkretne, kronikarskie dane o wszystkich tych ludziach, żyjących i nieżyjących, których spotkałem w czasie wojennej zawieruchy. I jeszcze a propos fabuły... Nie raz dostało mi się od krytyków za to, że w moich powieściach jest zbyt wiele nieoczekiwanych ostrych spięć sytuacyjnych. Tymczasem Maksym Gorki, zapoznając się z moimi pierwszymi utworami, nie tylko aprobował ten właśnie sposób narracji, lecz usilnie namawiał do jej dalszego rozwijania...

Z byłym trenerem „Motoru”, Bronisławem Waligórą rozmawia Waldemar Piasecki

PO UPADKU

DOKŁADNIE dwa lata temu przeprowadziłem rozmowę z trenerem piłkarzy Motoru BRONISŁAWEM WALIGÓRĄ („Sztandar Ludu” 26—27.04.1980 r.; tytuł „Chemia i boisko”). Rzecz miała miejsce na dwa miesiące przed awansem drużyny do I ligi, na który miasto czekało lat równo trzydzieści.

26 kwietnia 1982 r. dwa dni po meczu z Arką Gdynia, w którym ostatecznie okazało się, że lubelscy piłkarze nie nadają się do I ligi, siedzący z trenerem Waligórą w tych samych fotelach, w tej samej kawiarni „Unia”. Klimat rozmowy jednak — inny.

— Wie pan, już myślałem, że pan nie przyjdzie... O czym tu teraz mówić. Nie uwierz pan, ale od soboty nie spałem. Ludzi unikam, bo patrzą tak na mnie dziwnie. Co tu dużo gadać — to moja największa porażka w życiu... Wszystkiego bym się spodziewał, ale nie tego. Ten mecz był do wygrania, a potem to już mieliśmy 90 proc. szans na pozostanie... — widać Waligóra chce się wygadać.

— Rozumiem, że na precyzyjną ocenę jeszcze za wcześnie, ale one mnie interesują może nawet mniej. Co pan myśli teraz, na gorąco? Można było uniknąć spadku, czy nie?

— Naturalnie. Gdyby nie ta „szmata” Opolskiego z Arką... Zresztą w innych meczach też bronili kiepsko. Z Górnikiem, Legią, Wisłą, czy z Pogonią w Lublinie...

— To dlaczego go pan wstawiał do bramki?

— Rezerwowi Rejman długo nie bronili. Ma zresztą kłopoty rodzinne i to by było ryzyko. Chociaż w meczu z Arką chciałem go wystawić. Coś mi mówiło, że zagrałby dobrze.

— No więc w czym był problem? Przecież pan jest trenerem.

— Przed takim meczem bałem się ryzykować. Poprosiłem Radę Drużyny: Dębińskiego, Lorenca, Popa i Wiatra, żeby na kartkach napisali, kogo widzą

w bramce. I oni, wie pan, wszyscy napisali: „Opolski”. Zresztą podobnego zdania byli działacze klubowi: Demczuk, Cymborski i Brzozowski.

— Chce pan na nich zważyć odpowiedzialność?



Fot. W. Stępień

— Nie. Nie chcę. Tylko jak pan mnie pyta, to ja odpowiadam, jak było. To był zbyt ważny mecz, żebym sam decydował...

— Czy Motor był dobrze przygotowany do rundy wiosennej?

— Uważam, że fizycznie bardzo dobrze. Każdy mecz piłkarze wytrzymywali kondycyjnie... Mieli rezerwy siły jeszcze po meczu, w szatni.

— Na boisku widać było jednak co innego. Grali do mniej więcej 70 minut, a potem „stawali”, tracąc w końcówkach wiele bramek (choćby z Wisłą, Legią). Czy nie sądzi pan, że byli przetrenowani?

— Nie wierzę w pojęcie przetrenowania. Cykl treningowy był dostosowany

do poziomu umiejętności, predyspozycji fizycznych, psychicznych. Wprowadziłem indywidualizację. Zresztą badania lekarskie doktora Krychowskiego potwierdziły słuszność takiego rozwiązania sprawy. Przetrenowanie to może się zdarzyć u trenera, co nie ma pojęcia o szkoleniu. Jeszcze raz powtarzam, że trening był intensywny, ale dostosowany do możliwości każdego gracza.

— Może więc brak warunków szkoleniowych, bazy odnowy biologicznej itd.?

— Ja się nie chcę o tym wypowiadać, bo ja to już mówiłem od dawna. Gorszej bazy nie ma w całej Polsce. Taka, na przykład, Gwardia ma płyty treningowe trawiaste, szutrowe, żużlowe, kortowe. Pełen cykl odnowy biologicznej.

— Ale Widzew ma tylko jedną płytę i jakoś gra...

— Ale Widzew może mieć wszystko, czego zapragnie w województwie łódzkim. Nie ma klubu, który by im nie udostępnił swojego obiektu.

— Motor też miał swoje zgrupowania w Puławach.

— Tak. Ale musieliśmy także jeździć do Bełżyc, do Pszczeliej Woli i gdzie indziej. Trenowaliśmy nawet na trawnikach, na plaży, w lesie. To nie jest normalne, jak się chce mieć I ligę.

— Rozmawialiście przecież z władzami miejskimi, wojewódzkimi. Prezydent Zieliński osobiście polecił zrobić dla Motoru boisko żużlowe na Rusalce. Miasto pomagało mieszkańcami...

— Pozwoli pan, że ja się nie będę wypowiadał na temat tej pomocy zbyt szeroko; od tego są działacze klubu. Ja tylko powiem, że taki, na przykład, Irek Lorenc ma kawalerkę, a jego rodzina jest rozwojowa. I jak nie dostaną normalnego mieszkania, to Lorenc sobie znajdzie inny klub. Podobnie z Rejmanem, który w Koszalinie zostawił M-4, i jasne, że w Lublinie chciałby mieć przynajmniej to samo, bo ma żonę i małe dziecko.

— Są jednak inne przykłady. Chociażby Dariusz Opolski, któremu władze pomogły w uzyskaniu odpowiedniego mieszkania.

— Już powiedziałem, że to jest temat do rozmowy z kimś innym.

— Dobrze. Pomówimy o polityce transferowej Motoru. Co pan o niej myśli?

— A co tu można myśleć? Była zła i tyle.

— Czy miał pan na nią jakiś wpływ?

— Miałem. Nie zawsze jednak, a właściwie bardzo rzadko trafiali do

Motoru zawodnicy naprawdę wartościowi i najpotrzebniejsi.

— Dlaczego?

— Ja już panu mówiłem kiedyś, że od ściągania zawodników to nie jest trener.

— Tak. Pamiętam. Powiedział pan, że trener decyduje o składzie drużyny, szkoleniu i grze w meczach. Ale również, że trener jest od opiniowania przydatności graczy do zespołu. Spróbujmy ocenić kilka transferów.

— Proszę.

— Cypka?

— Tak. To był zupełnie nieudany transfer. Pożegnaliśmy się z nim zresztą szybko.

— Komosa?

— To jest zawodnik na II ligę. Brakuje mu techniki i to wychodzi przy przyjmowaniu piłki, prowadzeniu jej, przy podaniach.

— Arceusz?

— Brakuje mu waleczności w grze. Łatwo się zniechęca. Nie walczy, jak mu coś raz nie wyjdzie.

— Rabenda?

— Przyjął się w drużynie. Sporo umie. Szwankuje u niego jednak współpraca z partnerami.

— Kwapisz?

— Liczyliśmy, że się przyjmie, ale się zupełnie nie dopasował do drużyny.

— Teraz może transfery w odwrotnym kierunku. Dlaczego pozbyto się do Avii Męcika, skoro wiadomo było, że druga linia jest słaba?

— Męcik sam chciał przejść niżej, bo odczuwał skutki obciążenia treningowych koniecznych w I lidze. Gdybym wiedział, że Walczak zamierza uciec do Warszawy, nigdy bym się nie zgodził na jego (Męcika) odejście.

— Chaberek?

— Przed sezonem miał spore zaległości treningowe. Przesyłał zwolnienia lekarskie, bo podobno chorował na korzonki. Później, jak się w końcu zdecydował, miał już takie opóźnienia, że w meczach grał słabo. W końcu daliśmy mu zgodę na odejście.

— I też pewnie pan tego żałuje, bo po kontuzjach Szczeszaka i Wójtowicza okazało się, że Motor nie ma obrony; przede wszystkim stoperów.

— No tak. Ale kto mógł przewidzieć taki rozwój wypadków?

— Kibice mieli do pana zawsze pretensje o zestawianie składu drużyny. Wielu z nich twierdzi, że faworyzował pan niektórych zawodników mimo ich kiepskiej gry.

— Tak. Słyszałem nieraz, że faworyzuję Przybyłę i Lorenca. Ale to, naprawdę dobrzy gracze. Przybyła potrafił porwać do przodu cały zespół, wprowadzić zamieszanie w obronie przeciwnika, celnie pociągał, strzelił. Żałuję, że odszedł z Motoru, bo by się przydał na pewno. Lorenc też jest dob-

Sztuka w dobie kryzysu

Dokończenie ze str. 1

lem, będąc jedynie świadectwem blaknącej się jeszcze po umysłach wiary w nieograniczone moce państwa. Jeśli bowiem władze nie chcą napytać sobie kłopotów społecznych, muszą wcielić w życie ideę samodzielności ekonomicznej jednostek gospodarczych, w której wszyscy upatrujemy drogę wyjścia z kryzysu, łącznie z ZPAP. Jak pamiętam, to właśnie związek plastyków od początku popierał program strukturalnego zreformowania polskiego życia, chyba nie zdając sobie sprawy, jaką cenę przyjdzie płacić artystom w momencie, kiedy rzecz stanie się faktem.

Można wszak zauważyć, że nie tyle samodzielność przedsiębiorstw, co ogólny i głęboki kryzys gospodarczy spowodował mizerię na rynku plastycznym, szczególnie dotkliwie uderzając na egzystencję artystów młodych. Obecnie bowiem oprócz zleczeń na prace użytkowe brakuje także płótna na obrazy oraz farb — nawet tych krajowych, czerpiejących już na palecie, a wraz ze wzrostem ogólnych kosztów utrzymania budynków mieszkalnych gwałtownie podskoczyły czynsze za pracownię, zatrzymując się (?) na poziomie 2—4 tysięcy

złotych, a nawet wyżej. Za piwniczną pakamerę bez wody bieżącej pewien rzeźbiarz płacił do niedawna 200 zł miesięcznie, teraz oczekuje się od niego 1200. Windowanie czynszów to jednak sprawa bardziej złożona, wynikająca w znacznym stopniu z faktu utożsamiania plastyków z rzemieślnikami, co zresztą przy okazji nieźle ilustruje społeczny stosunek do sztuki.

Takiej diagnozie trudno odmówić słuszności. Ale czy można podzielać towarzyszące jej nadzieje na unormowanie się sytuacji z chwilą przelamania nekającego nas kryzysu? Moim zdaniem — nie. Na pewno nie widzę szans na powtórzenie się okresu względnej prosperity, jaką przeżywała plastyka polska w latach 1971—1973, kiedy to właściwie każdy sprawny fizycznie członek ZPAP mógł liczyć na mniej lub bardziej intratne zlecenia na prace użytkowe. Materialny status artystów jest funkcją aktualnej struktury społeczno-ekonomicznej kraju, ta zaś wyraźnie zmierza w Polsce do nowego wzoru, opartego na rynku, na którym podażą rządzić będzie popyt, a ostra konkurencja stanie się zasadą działalności producentów.

No i dobrze — ktoś powie — bo właśnie wtedy przemysł i handel szeroko odwołują się do pomocy plastyków, wyznaczając im ważne i popłatne miejsce w procesie kształtowania i promocji towarów...

Owszem, jest to wizja piękna i sugestywna. Nie uwzględniła ona jednak pewnego „drobiazgu”: że tak uformowany rynek przeprowadzi w środowisku plastyków brutalną selekcję, przyjmując tylko jednostki najsprawniejsze, najbardziej wydajne. Pozostali nie znajdą miejsca w tym komercyjnym polu, albo zmuszeni zostaną do wykonywania prac, które trudno będzie uznać za rzemieślnicze. A takich „outsiderów” będzie wielu, bo krajowe szkolnictwo artystyczne ciągle produkuje specjalistów bez miejsca w społecznym podziale pracy.

Ale czy w ogóle warto o tym mówić, skoro droga do owego rynku jest tak odległa? Otóż warto, albowiem właśnie plastycy, bodaj jako pierwsze w Polsce środowisko zawodowo-twórcze, już dotarli do granicy pola, na którym popyt decyduje o podaży, lokując się tam w roli aktywnych partnerów klienteli — tymczasem w skali proporcjonalnej do wielkości kryzysu. O co chodzi, zorientować się

można w sklepie „Plastyka” i Salonie WPHW (patronat PSP) przy lubelskim Krakowskim Przedmieściu, gdzie od dłuższego czasu wystawiane (oferowane) są obrazy takie, że właściwie każdy przeciętny obywatel może uznać je za rzeczy przyjazne, zrozumiałe i ładne. Będąc krzyżówką pospolitych konwencji, realizmu z koloryzmem, płótna te (oraz tektury i dykty) przedstawiają: pejzaże z chałupami wiejskimi lub bez, kwiaty, owoce, rozlewiska wodne z żaglówkami, konie. Proponowane są ponadto kopie dzieł znanych artystów z epok minionych, co zresztą skrupulatnie zaznacza się na karteczkach, przypiętych do takich obrazów. Oprawiony w estetyczne lub wręcz imponujące ramy, towar ów można kupić za kilka, kilkanaście (najczęściej) lub kilkadziesiąt tysięcy złotych.

Poziom warsztatowy obrazów bywa zróżnicowany, ale dajmy pokój tym sprawom, albowiem z pewnych względów ważniejszy wydaje się fakt, że to wszystko znajduje nabywcę. Podkreślam: jest to fakt ważny — ale wcale nie zaskakujący, zupełnie pozbawiony znamion precedensu. Otóż w latach międzywojennych, kiedy to artyści ciągle narzekali na brak mecenatu i większość klepała biedę, tylko inflacja w okresie 1923—1924 r. zdolała zainteresować szeroką publiczność malarstwem. Wtedy właśnie wyjątkowo chętnie i często kupowano obrazy, traktując je jako lokatę kapitału. Nikt, kto jeszcze pozostał przy zdrowych zmysłach, nie powie dziś, że złotówka trzyma się krzepko, a zatem analogia nasuwa się sama, choć w latach dwudziestych upadła marka polska, wprowadzona przez Niemców.

Prawda, hossa na takie malowidła trwała dość krótko, bodaj przez trzy miesiące, począwszy od połowy grudnia minionego roku. Podobnie obecnie na rynku obrazów znów panuje zastój i nawet rzeczy zupełnie lekkostrawne a sentymentalne tygodniami wiszą na ścianach lub spoczywają w magazynach wspomnianych przybytków. Po prostu ludzie wypsztykali się z pieniędzy, a koszty codziennej egzystencji tak wzrosły, że lokowanie kapitału sprowadza się do zabiegów o przetrwanie do końca miesiąca. Wiem jednak, że niektórzy malarze na razie nie narzekają; trudniąc się np. wykonywaniem portretów z modelu żywego i fotografii, domagają się i otrzymują honoraria

rym piłkarzem. Jest zaawansowany technicznie, szybki, zacięty.

— No dobrze, ale nie odpowiedział pan na pytanie.

— Nikogo nigdy nie faworyzowałem. O grze decydowała forma i przydatność w określonym meczu.

— W wielu meczach widać było brak odporności psychicznej drużyny. Kiedy tracił bramkę w decydującym momencie, przestawali walczyć. Było tak m.in. z Pogonią i Arką w Lublinie. Z Wiatą, Legią, Bałtykiem — na wyjeździe.

— Tak. To była słaba strona zespołu. Potrafiłem zrozumieć, dlaczego dzieje. Lorenc mówił mi, na i że czasem czuł się jak związanym, chciał walczyć, a nie mógł. Oni czuli odpowiedzialność przed kibicami i to ich paraliżowało.

— No dobrze, to jest diagnoza. A leczenie?

— Wielokrotnie starałem się im wytłumaczyć, że trzeba walczyć do końca. „Gryźć”, jak to się mówi, trawę... W takim meczu z Arką to ja bym był po stracie bramki wściekły na cały świat, wszystkich chciałbym pozabijać, a oni stanęli, pogodzili się.

— Jest pan znany z twardej ręki w prowadzeniu drużyny. Dyskutować można, ale jak się wykona polecenie. Krytykować też w „swoim czasie”. Zawodnicy mówili, że w ogóle nie tolerował pan krytyki. Na treningach rugali ich „ezliotnie” i czasem niezastępowanie. Miał pan też swoich „ulubieńców”, którzy dostawali ostro „popalić”. Słyszałem nawet, że miał pan pseudonim „Bandyta”.

— Jestem zwolennikiem dyscypliny, to prawda. Ja odpowiadam za proces szkoleniowy, a piłkarze za grę. Wymagałem zawsze dyscypliny, szacunku i konsekwencji. Zawodnik nie miał prawa się gniewać. Owszem, tych, którzy „podpadali”, traktowałem ostrzej niż innych.

— Czy nie uważa pan, że mogło to doprowadzić do psychicznego rozbitcia drużyny? Z jednej strony reżim, a z drugiej brak efektów. To może w końcu zniechęcić...

— Nie uważam, aby tak było.

— Motor spadł do II ligi. Co dalej?

— Jestem zdania, że można powalczyć o I ligę i za rok do niej wejść, ale pod warunkiem, że kierownictwo klubu wyciągnie odpowiednie wnioski z polityki transferowej, warunków szkoleniowych, socjalno-bytowych piłkarzy i że nie straci głowy.

— Co to znaczy: „nie straci głowy”?

— Dziewięciu zawodnikom kończą się umowy z „Motorem”.

— A co z panem? Odejdzie pan z Motoru, czy spróbuje raz jeszcze wprowadzić go do ekstraklasy? Mówi się o pańskich rozmowach z kilkoma klubami ligowymi...

— Uchylam to pytanie. To są sprawy między kierownictwem a mną...

w wysokości do 20 tys. zł za sztukę. Najbardziej utrudnia im życie brak farb i innych materiałów, potrzebnych do produkcji.

Znamienne przy tym, że na liście osób pracujących dziś na potrzeby rynku znaleźli się artyści, którzy jeszcze niedawno z niesmakiem wyrażali się o takim procederze, pokpiwając z kolegów handlujących np. pejzażami Kazimierza Dolnego i okolic. W przekonaniu, że sztuka jest obszarem suwerennym, podległym jedynie kreatywnej woli twórczych indywidualności — ci ambitni bracia udział w poważnych wystawach, znajdowali miejsce w muzeach, prezentowani bywali poza granicami kraju, a jeśli imali się prac zarobkowych, to tylko w zakresie plastyki użytkowej, gdzie również dali się poznać jako fachowcy odpowiedzialni i sprawni. Nigdy wszakże nie zniżali się do tego, by dostosować własne malarstwo do oczekiwań masowej klienteli i eksponować je w miejscach takich, jak witryna sklepowa. Osobiście z niedowierzaniem więc przyjąłem donos, że w Salonie WPHW pojawiły się prace jednego z klasyków polskiej awangardy, autora wymienianego w podstawowych opracowaniach naszej sztuki nowoczesnej, obecnego w zbiorach muzeów narodowych etc. Informacja okazała się przecież prawdziwa, mało tego — ów znany artysta zechciał zaofiarować PT Publiczności coś, co lubi ona szczególnie: kwiatki.

Fakt ten mógłby stać się przedmiotem jakiegoś technologicznego felietonu, w dwuznacznym świetle przedstawiającego etykę artystów. Byłby to jednak zabieg tyle głupi i nieuczciwy, co zaciemniamy istotę sprawy, która przy uwzględnieniu spojrzem nabiera wymiarów zjawiska wręcz historycznego, narastającego od kilku już lat, a obecnie tylko mocniej wyartykułowanego przez kryzys gospodarczy. Sądzę bowiem, że jesteśmy olo świadkami degradacji pewnego pięknego mitu, który począwszy się gdzieś w połowie minionego stulecia, zaczął uwiaryć artystom w ich misję dziejową, wypełnianą w ciągłej walce ze społeczeństwem, choć ostatecznie dla niego właśnie. Wszystkie kolejne ruchy awangardowe widziały w sztuce skuteczne narzędzie przekształcania świata i ludzi, coś, co nie tylko poszerzy wrażliwość, ale wręcz naprawi człowieka i formy jego egzy-

— Nie sądzi pan, że również między tysiącami kibiców, a panem?

— To potworna rzecz stracić ligę dla takiej publiczności. Trzeba jednak wierzyć, że będzie lepiej...

— Pozwoli pan, że zapytam wprost. Mówi się o pańskim przejściu do Cracovii, Wisły i Lecha, czy mógłby pan potwierdzić lub zdementować te pogłoski?

— Już powiedziałem. Nie chcę odpowiadać na takie pytania. Mój kontrakt z Motorem wygasa 31 lipca br. Co później będzie, nie wiem.

— Czy widzi pan swoją winę w tym, co się stało: w degradacji trenowanej przez pana drużyny?

— Takiego szoku nie doznałem jeszcze nigdy. W szatni po meczu z Arką było zupełnie cicho. Chłopaki szybko wymykali się do domu. To, co się we mnie dzieje, nie da się opisać. Ale życie i sport muszą się toczyć dalej...

Tak dobiegła nasza rozmowa. Trener Waligóra spieszył się na trening o godzinie 10-tej. Czy na nim był, nie wiem. Wiem natomiast, że nazajutrz, 27 kwietnia br., wiceprezes Motoru Jan Demczuk rozesłał komunikat, w którym zawiadamiał lubelskie władze sportowe i publikatory, że w związku z przesądzeniem losu drużyny kierownictwo klubu i trener Waligóra uznali za wskazane wcześniejsze „rozstanie” niż przewiduje umowa (31 lipca br.). Nazywa się to wykorzystywaniem zaległego i obecnego urlopu. Równocześnie rozwiązano umowę o pracę z II trenerem Mirosławem Tuczewiczem, a prowadzenie piłkarzy w meczach z Zagłębiem Sosnowiec, Ruchem Chorzów i łódzkim LKS-em powierzono asystentowi trenera Tadeuszowi Kamińskiemu.

Tak więc życie i piłka łączą się dalej. Ciekawe dokąd tym razem?

PS. Nie zajmuję się dziennikarsko sportem, co wcale nie znaczy, że czuję się zwolniony z obserwacji zjawisk w nim i wokół niego zachodzących oraz formułowaniu pewnych uwag, oto one:

1 Ludziom potrzebne są złudzenia, a sport ich dostarcza. Znaczenie bowiem łatwiej identyfikować się z Bonikiem, siedząc w fotelu przed telewizorem, czy z Debińskim na trybunie stadionu RKS Motor (choć na pewno — trudniej), niż samemu wziąć się za trening i zagrać jak on(i). Tym tłumaczy się m.in. powodzenie dyscypliny o charakterze zbiorowych widowisk „walki”. Dlatego doskonale rozumiałem szalejących kibiców, kiedy Motor wchodził do ligi, i ich rozgorączczenie, kiedy spada. Uważam, że miasto Lublin stać na złudzenia na poziomie I ligi; jeżeli stać na to np. Miślec. W związku z powyższym myślę, że kibicom, których pozabawia się owych złu-

dzień na — przynajmniej — rok, należą się wypłacone dotacje bardziej wyczerpujące niż serwowane wyżej. Nie tracę nadziei, że takowe nastąpią.

2 Uważam, że nie mniej ważne od tego, jak walczył Motor, był również przekaz tej walki przez lubelskie gazety. Niestety, moim zdaniem, często nieobiektywne, a w komentarzu do wydarzeń na boisku często — tendencyjny (rzekomo to... interesie piłkarzy, których należało „psychicznie podbudowywać”). Taki „wypaczony” obraz drużyny Motoru przyczynił się do tego, że szok porażki jest dla wszystkich: kibiców, piłkarzy, działaczy, trenerów itd. — większy niż być powinien. Niestety, nie jest tak, że nad Motorem zacięto — jak by chciał kolega z lubelskiej gazety — „fatum”, które wiązało nogi piłkarzom i spowodowało ostatecznie degradację do II ligi. Jest tak, że w klubie popelniono szereg błędów (jakich, powinni wiedzieć najlepiej sami zainteresowani), odbijających się takim, a nie innym obrazem na boisku. Błędy te byłoby dobrze pokazać teraz, skoro nie było odwagi, czy trw. klimatu — wcześniej. Nie „fatum” spowodowało spadek, a kiepska gra.

3 Kiedy sportowe umiejętności zawodły, zabrakło niestety w RKS Motor „fair play”. Mam tu na myśli sposób wcześniejszego zakończenia pracy przez Waligórę. Prawdziwi sportowcy i dżentelmeni nigdy nie opuszczają gry, dopóki trwa. Niezależnie od tego, czy jest to murawa boiska, czy „zielony” stolik. Przykro mi, ale nie słyszałem nigdy, żeby rasowy gracz po zaliczeniu szlemika w piki, stwierdziwszy po zobaczeniu kart partnera, że „wpadł” bez picieju, poprosił o przerwę na dokończenie kryminalu Barbary Gordon, który odtoczył na półkę rok temu; albo też stwierdził nagle, że gra się przy stole w... kierki, na przykład. Owo więc „rozstanie” utwierdza mnie w przekonaniu, że przyczyny spadku leżą w klubie, a nie w zaświatach.

4 Jest na to zresztą dowód kolejny. Do „stylu” trenera i działacza dostrzeżli się również piłkarze. W ostatnim meczu przed własną publicznością, w dniu 1 maja br. kilku z nich grało tak, jak by ich celem było możliwie jak najszybciej wygranie meczu przez chorzowski Ruch, któremu akurat te 2 punkty ważyły na ligowej był. Stąd nie bardzo dziwiłem się okrzykom z trybun „Ile waam dał!”? Kiedy zaś prezes Brzozowski zdjął z boiska kierującego tą „grą” kapitana drużyny Debińskiego, ten ostatni biegnął przed główną trybuną, do szatni, ostentacyjnie wypinał się na kibiców i klepał po dupie. Faktu tego lubelskie gazety jednak, w sprawozdaniach, nie dostrzegły. Nie licząc marginalnej wzmianki w „Kurierze”.



Maria Dz. — S. Jarosław. W Pani wierszach wszystko jest odwrotnie niż zapowiedziane w korespondencji. Pisanie Pani, że sporo Pani już publikowała w „czasopiśmie regionalnych i studenckich ogólnopolskich oraz na antenie Polskiego Radia. W recenzjach moich wierszy podkreślano ich śpiewność, melodyjność, filozoficzność, a przede wszystkim zamierzoną prostotę, bez udziału i językowych kalamburów. Cenie — dopowiada Pani od siebie — umiar, prostotę, szczerość a przede wszystkim autentyczność uczuć ludzkich, człowieczeństwo i nieco kobiecy sentymentalizm”.

Nie mogę sprawdzić czy rzeczywiście tak wiele Pani publikowała. Nie mogły to być jednak na pewno utwory w rodzaju: „Do Romea”, „Lowcy nenufarów”, bo ani one sposobne do druku, ani można w nich dostrzec próstoty, autentyczności uczuć, braku udziwienia. Dostrzegam natomiast przede wszystkim wszelobocność „kobiecy sentymentalizm”. Już raczej część z pozostałych wierszy zawiera mniej grzechów, od których zdaje się Pani odzwalnawac, ale poezja w nich także mało, a do publikacji droga daleka. Proponuję nadto zastanowić się czy „zamierzona prostota”, może mieć cośkolwiek wspólnego z „autentycznością uczuć”, a przebieganie się w szaty bohaterów Shakspra czy jest dobrym rekwiizytem tego, co pragnęła Pani zapewne wyrazić?

Jadwiga J. Lublin. Brakuje Pani w odpowiedziach „Pocztę Literackiej” cytowania omawianych utworów. Istotnie, jest ich niewiele. W prozie jest to, rzecz zrozumiała, niemożliwe, w poezji zawodnie, bo wyrwane z kontekstu. Mogło by omieszczać ufających mi korespondentów, mimo polanoniowości praktykowanej w tej rubryce. Autorzy z Lublina i okolicy odwiedzają w piątki redakcję, aby porozmawiać o nadesłanych tekstach, często ich zresztą do tego zachęcam. Goszczą też w Dziale Literackim adepci literacy i odległych nieraz stron.

Sądze, że nie będzie miała Pani mi za złe, że zabraknie tu cytowań także i z wierszy nadesłanych przez Panią. Powiem jedynie, iż wzięły moja uwagę takie utwory, jak: „O człowieku”, „Mój ty daleki niezajomy”, „In nuce”, „Nagle stanął przede mną...” i „Nasz start”.

W wiadomości sprawie „szatan kusił” widać Panią za słabo. Może jednak ulegnie Pańf jego perswazji?

Halina G. Werbkowice. Otrzymała Pani odpowiedź w poprzednim numerze „Kamena”. Niech się Pani ustosunkuje do zawartych w niej zastrzeżeń.

Leon N. Nowy Sącz. Miło nam, że łącząc Pana z Lublinem dobre wspomnienia z okresu służby wojskowej. Nieprawda jest, że każde wydawnictwo broni lokalnych autorów. „Kamena” czyni to jedynie z tej przyczyny, iż jest piśmie lubelskiego środowiska literackiego, ale nie zamknęła się przed pisarzami z zewnątrz. Dowody znajduje Pan nierazko na naszych łamach. Za jakiś czas zapoznam się chętnie z nowymi Pańskimi utworami. W tych które Pan nadesłał, „coś jest”.

T. J.

praszającej środki materialne i kształtującej wyidealne przekonanie, że każdy absolwent uczelni artystycznej jest indywidualnością twórczą.

Przez takie rozłożenie akcentów nie mam wcale zamiaru dyskredytować projektantów wnętrz i wielu różnych przedmiotów użytkowych. Przedzej czy później najlepsi z nich poczują pewniejszy grunt pod nogami, bo z oczywistych względów okażą się znów nieodzowni w polskim pejzażu społeczno-gospodarczym, choć po drodze do tej lepszej przyszłości szlag niejednego trafi. Aktualnie, ale i przewidywana sytuacja ekonomiczna kraju największe zagrożenia niesie jednak dla ludzi, którzy z wewnętrznej potrzeby decydują się na aktywność w polu sztuki — mówiąc umownie — artystej.

Tak czy inaczej, wszyscy członkowie ZPAP znaleźli się dzisiaj na progu zupełnie nowej rzeczywistości. Tymczasem jest ona biedna i bezwzględna, zapewniając znośną egzystencję wyłącznie tym, którzy jeśli się produkowania kiecek damskich i galanterii skórzanej. W przyszłości zaś będzie zupełnie odmienne od tej, do jakiej środowisko przywykło przez ponad trzydzieści lat. Nie konkretnego na ten temat powiedzieć jeszcze nie można. Poza jednym: że pod ciężarem aktualnych czynszów za pracownie plastyczne ugnie się zdecydowana większość środowiska, szybko zapominając o jakichkolwiek ambicjach zawodowych. Zacznie się liczyć „szmal” i tylko „szmal” — ba, ale gdzie będzie można go zdobyć? W Funduszu Rozwoju Kultury?

Na koniec proponuję, aby przy przyjmowaniu na studia artystyczne wyjaśniano młodym ludziom, że podejmują naukę na własne ryzyko i dla osobistej satysfakcji i nikt nie jest zobowiązany do zapewnienia im pracy po skończeniu uczenia. Tak, jak to się dzieje w większości krajów świata, których gospodarką rządzi rynek.

Ireneusz J. Kamiński

CZŁOWIEK ten na dobre zadomowił się w korytarzu, przez który wchodziliśmy do naszego biura. Kiedy każdego zimowego ranka (latem gdzieś zniknął) zjawialiśmy się tuż przed siódmą w pracy, witał nas jak gospodarz skinięciem głowy, w którym było tyleż godności, co i chłodu.

Czasami człowiek ten pytał nas o godzinę. Gdy otrzymywał odpowiedź, dziękował głosem uprzejmym, lecz nieugrzeszczonym. I całe to zachowanie powodowało, że jakoś nigdy nikt z nas nie miał odwagi do niego zagadać, zapytać, po co sterczy każdego ranka w tym źle oświetlonym, cuchnącym korytarzu starej czynszowej kamienicy, w której mieściło się, wraz z kilkoma innymi instytucjami, nasze biuro.

Początkowo intrygowała nas ta postać. Z czasem jednak przywykliśmy do jego obecności i witaliśmy go zdawkowo, jak przypadkowego znajomego, ba, nawet jak współpracownika, co to dostrzega, czy ktoś do pracy się nie spóźnia.

Jego obecność narzuciła nam niejako określone zwyczaje i rytm pracy. Wiadomym bowiem było, że tuż po siódmej człowiek ten zjawi się w pomieszczeniu, gdzie jest zlew i ściennie lustro, i sako ranną toaletę przy kranie z ciepłą wodą płynącą od elektrycznej termy. Kiedy się ktośkolwiek z nas zapomniał, człowiek ten uprzejmie przeproszał i mówił, iż za chwilę opuści łazienkę, tyle tylko, że twarz przepłucze. Sprawiało to wrażenie, że to on jest głównym dysponentem tego pomieszczenia.

Kiedyś zdarzyło mi się przez przypadek natrafić na niego w łazience. Granatową pokolejarską jesionkę odłożył na krzesło. Mył się pod kranem, prychając i pofukując. Uważnie przeglądał się w lustrze. Był człowiekiem jeszcze niestarym, mocno zbudowanym, o wyrazistej twarzy i uderzająco jasnych oczach, w których nie było ani odrobiny pokory. Szcherzył do lustra białe, duże zęby, nadmymał policzki, przyglądał się zmarszczkom na szole.

Zobaczywszy mnie, powiedział:

— Proszę chwilę zaczekać, już kończę — i nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi, mył się dalej, gulgocząc i prychając, jakby poza nim w pomieszczeniu nikogo nie było.

Kiedy zacząłem odprowadzać syna na naukę pływania do Akademickiego Ośrodka Sportowego, pewnego razu natknąłem się w halu na tego człowieka, zajętego właśnie bez reszty oglądaniem kolorowej telewizji. Jesionkę miał starannie złożoną na kolanach, nogi swobodnie, wyprostowane, jak w domowym fotelu.

Najczęściej czterdziestopięćminutowe oczekiwanie na syna skracałem, włócząc się po całym rozległym budynku. Zachodziłem do sal treningowych, w których grali w piłkę lub ćwiczyli młodzi ludzie. Czasami, z reguły w sobotę, główna sala do gry w koszykówkę otwarta była dla publiczności; zdarzało się, że trafiałem na mecze bliżej nieznanymi mi drużyn.

Pewnego razu zobaczyłem w niej człowieka z korytarza. Stał wsparty o balustradę, całkowicie pochłonięty grą, rozgęstykulowany, co i raz wydający gromkie okrzyki, które wzbudzały powszechną uwagę. Nie zgadzając się z werdyktem sędziego, głośno wyzywał go od kmiotków i impotentów sportowych, co tamtego w widoczny sposób wypróżniało z równowagi.

Kilkakrotnie spojrzał na mnie, ale jakby mnie w ogóle nie widział. Być może zaślepiony był grą, albo widział tylko we mnie jednego z tego szarego tłumu, który co rano idzie do pracy.

Pewną sensację wzbudziło odkrycie naszej sprzątaczkii, która przez zupełny przypadek zawędrowała schodami wiodącymi na strych. Tego strychu od momentu zajęcia kamienicy przez różne biura,

Wysunąłem paczkę ekstra mocnych w jego stronę.

— Zbyt mocne — zauważył od niechcenia. — Ale na bezrybiu i rak rybą. — Kiedy zapalił, wysupiałem z paczki kilka papierosów i bez słowa wyciągnąłem rękę w jego stronę.

— O, nazbyt pan uprzejmy — zauważył zimno, z godnością. I zaraz szybko, jakby dla złagodzenia dodał: — Niebawem otworzą skup, a ja mam kilka butelek, więc pierwsze potrzeby opędzę. Pan wybacz, muszę już iść — rzekł i niespiesznie ruszył schodami w dół.

Od tej pory miałem wrażenie, iż człowiek ten nie odpowiada na moje ranne pozdrowienia, a w

Człowiek z korytarza

Stanisław Andrzej Lukowski

w tym i nasze, nikt nie używał. Na podestu, z którego wiodły zabite na glucho drzwi na poddasze, znalazła legowisko równo zasłane brudnym kocem, wiszący zrobiony z dwu gwoździ wbitych w ścianę oraz coś w rodzaju stolika sporządzonego z transportera na butelki z mlekiem. Na tejże skrzynce stała gruba, woskowa, nadpalona świeca. I pewnie, aby było przytulniej, bariera dzieląca klatkę schodową od podestu zawieszona była różnokolorowymi gazetami. Przy legowisku poniewierało się kilka starych czasopism. Zrozumieliśmy, że człowiek ten sypiał tam zimą, latem bowiem gdzieś zniknął i pokazywał się u nas dopiero przy pierwszych przymrozkach.

Któregoś dnia ujrzałem go w pełnym świetle. Stał na podestu półpiętra, przy oknie. Kiedy usłyszał kroki, odwrócił się i uważnie popatrzył na mnie.

— Dzień dobry — powiedział. — Czy może mnie pan poczęstować papierosem?

halu ośrodka sportowego udaje, że zupełnie mnie nie widzi.

Któregoś dnia, mimo że zima była w pełni, ów człowiek zniknął. Po tygodniu czy dwu jego nieobecności poszliśmy sprawdzić na górę, czy go tam nie ma. Legowisko było równo zaśleplone, świeczka zupełnie wypalona, a gazety, wiszące poprzednio na barierze i poniewierające się po podestu dokładnie złożone w jedno miejsce.

Mineła jedna zima, druga, trzecia. Przeżyłem w tym czasie wiele radości, rozpaczy, nadziei. Czas duży we mnie zatarł, ogłuszył, stępił. Jednakże ilekroć wchodzę do cuchnącego, źle oświetlonego korytarza z coraz bardziej narastającym niepokojem patrzę w kąt, w którym zazwyczaj stał ten człowiek bez nazwiska i tożsamości. A nuż zjawi się, jak to już wielokrotnie bywało, z godnością skinie głową i głosem uprzejmym, lecz nieugrzeszczonym zapyta o godzinę?

KSIAŻKI • KSIĄŻKI • KSIĄŻKI

Ballada o niepokornym robotniku

„**H**ABENT sua fata libelli” — tę łacińską sentencję można odnieść na dobrą sprawę do prawie wszystkich książek. Do „Rzeźni Maksa Heroda” pasuje ona nie tylko dlatego, iż książka gdańskiego pisarza, nagrodzona na konkursie olsztyńskiego wydawnictwa „Pojezierze” w roku 1979, mogła ukazać się dopiero po sierpniowym przełomie. Chodzi tu zresztą nie tylko o symbolikę, o uczuciową i treściową magię kolejnych polskich miesięcy, kolejnych polskich przełomów. Chodzi o to, iż powieść Bolesława Faca zrośnięta jest z gdańską stoczną wielorako, choć jej bohater wcale nie jest człowiekiem z żelaza. Ani ze stali, ani z marmuru, ani z innego bardziej czy mniej szlachetnego tworzywa. Maks Herod jest po prostu człowiekiem z krwi i kości, zwykłym, przeciętnym robotnikiem, początkowo nawet niezbyt orientującym się w nastrojach panujących wśród towarzyszy pracy.

„Maks myślał przede wszystkim o sobie” — ta zwięzła charakterystyka oddaje typowość postawy młodego człowieka wkraczającego w życie: zarobić, urządzić się, a póki co wypić i popilnować

wac. Powoli i na polu tylko świadomie dał się Maks wciągnąć do biernego oporu wobec tego, co się wokół działo. Poznawszy smak niepokoju, rozmyśla: „To wszystko miało być inaczej i nie wiadomo, jak ma być w końcu. Człowiek wie, że nie jest tak, jak powinno być, ale jak się go zapytać, jak chce, by było, to nie wie jak”. Jest więc Maks Herod prostaczkiem bożym, usobieniem przechętności. Nie ma wybujałych ambicji, nie filozofuje, ale domaga się sprawiedliwości. Brzydzi się kłamstwem, różnego rodzaju manipulacje nie mieszczą mu się w głowie. Reprezentuje tak zwany zdrowy odruch. Ale co z tego, skoro co rusz spotykają go represje, skoro czuje się obywatelom gorszej kategorii. Narasta w nim rozgoryczenie, rozpoczyna się — choć Maks tego słowa nie używa — przewrót doświadczenia.

Powieść Bolesława Faca ukazuje absurdalność pewnych konwencji politycznych, trafiających w próżnię, jaka coraz wyraźniej rysowała się między tracącą autorytet władzą minionego dziesięciolecia a rządzącymi. Ukazuje bezwład mechanizmów nie odnawianych, nie dostosowywanych do sytuacji. Maks Herod chce sprawiedliwości społecznej, ale nie chce, by gwarantowały ją propagandowe oszustwo oraz represje wobec niepokornych. Gdyby odwołać się do niedydziejszej terminologii, można

by powiedzieć, iż jest to powieść o narastaniu świadomości klasy robotniczej, prowadzącym w końcu do słusznego protestu. W książce Faca widzimy właściwie dopiero początki tego procesu, więcej tu zagniewania i niepokoju, niżli świadomych działań organizacyjnych. Ich wyraźnym przejawem jest jedynie zbiórka pieniędzy na wieńce, które następnie składane są dla upamiętnienia robotników poległych w grudniu roku 1970. Daje to okazję do zwięzłego opisu tamtych dni, przypomnianych przez tak zwaną percepcję zbiorową: „wiadomo, że to, co wszyscy wiedzą, to wiedzą naprawdę”.

Wyraźny jest rozdźwięk między świadomością społeczną, czyli po prostu tym, co się wie, a oficjalną propagandą (niekoniecznie „sukcesu”), czyli tym, co się słyssało w telewizji i czytało w gazetach. W tym rozdźwięku znajduje się miejsce na postawę tak scharakteryzowaną przez Witolda Gombrowicza w „Transflantyku”: nie jestem ja tak śmiały, żeby coś mniemać, albo i nie mniemać. Mistrz groteski w taki oto dowcipny sposób określał postawy pełne sprzeczności i samozaprzeczeń, których celem między innymi bezpieczne przeczekanie sytuacji, gdy należałoby gromko zakrzyknąć: król jest nagł! Ale, w końcu, społeczna hipokryzja nie jest wymysłem naszych czasów. I Fac

o tym wie, dlatego kompromituje rzeczywistość nie tyle poprzez sytuację i zdarzenia, co przede wszystkim w warstwie językowej, parodiując język oficjalny, ale nie szczędząc i polszczyzny potocznej. Taki sposób narracji prowadzi do deformacji rzeczywistości przedstawionej. O nic innego, zresztą nie chodzi — pokazać naszą rzeczywistość w zwierciadle trochę krzywym, nie tyle złośliwie, co wnikliwie i trochę rubasznie. Pokazać ludzi pokrzywdzonych i przez los, i przez innych. Ale pokazać też ludzi niepokornych.

„Rzeźni Maksa Heroda” nie można nazwać powieścią polityczną. Jest to raczej stosunkowo luźno skomponowana ballada o niepokojach młodego człowieka wkraczającego w życie w latach siedemdziesiątych. Ale akcenty polityczne interesują nas ze względu na rozumiały. Tym bardziej, że brakowało ich, — rozmaitych zresztą powodów, w będącej w oficjalnym obiegu prozie minionego dziesięciolecia, zdobywającej się co najwyżej na nie zawsze wystarczająco czytelne aluzje.

Tadeusz Błażewski

B. Fac: „Rzeźnia Maksa Heroda”. „Pojezierze”, Olsztyn 1981, str. 251, cena 45 zł.

Ale już po starcie

WIERSZE Henryka Kozaka przywykło się wpinać do segregatora z napisem „Stylistyczny skutek wiejskiego pochodzenia”. Latwe krytyczne ujęcie prowadzi do stwierdzenia o pożytecznym odejściu od metaforycznych uduśnianiu ku prawdzie życia, co podobno da się osiągnąć głównie przez powrót do Arkadii dzieciństwa. Tymczasem każdy poeta pisze sobą, swoim zasobem doświadczeń, więc nieczym szczególnym ta dążność celowania na siebie, poszuki-

wanie poetyckiego dowodu tożsamości. Na dobrą sprawę nie inną właściwość da się stwierdzić w utworach nawet ze „skazą” parnasistowską, czy akademicką. Wspieranie krytycznych analiz biografii autora, to krytyczna linia jeśli nie najmniejszego, to nie dużego oporu. Co w takim razie wykrylibyśmy u źródła poezji Leśmiana? Ucieczkę od prozy życia prowincjonalnego notariusza. Co Czechowicza? Rekompenstatę mieszkającego sutereny, który za limit społecznego awansu musiał uznać

Piotr Szewc

SĄ JAK AKTORZY

Są jak aktorzy grający farsę na deskach starego teatru
Jak dziś i od przyszłości będą oczekiwać dobrych manier
Oślasków od oszalałej widowni
Kosów róż po każdym przedstawieniu

Wola umrzeć niż być wygwizdanym
To ponad ich tkliwą wytrzymałość ponad wyobrażenie
Przyszłość to gra taktu i wzajemnej adoracji
Lunapark w bajecznych dekoracjach w kolorowym świetle
Coś podobnego do komedii
Coś co się dobrze kończy

Nie chcą uwierzyć że gdzieś słychać barbarzyńskie bębnę
Nie wiedzą co to rozpacz samobójcy
Nie chcą się wyrzucić swoich przypływczych
Swoich różowych dziecięcych snów

Dzieci pięknej epoki w garderobach poprawiają uczesanie
Myślą że wszystkie spektakle zarezerwowane
Ze publiczność zewsząd wali drzwiami

WIEDZIAŁEM ŻE TO SEN

Jeszcze lato wysoka trawa biegniem przed siebie
Była noc ale niebo niezwykajnie jasne
Wiedziałem: z rzadka małe obłoki księżycy świeci
Cisza tylko ptaki grały swój nocny koncert

Pożegnany ze wszystkim czemu nie sprostalem
Coraz dalej od tego czasu zdołalem sprostać
Było mi lżej niż kiedykolwiek indziej
Wiedziałem że to sen i chciałem aby się powtórzył

OGRODY JESIENIĄ

Ogrody jesienią zmieniają swoje twarze
Obłoki rzucają swe cenne odbicia
Ostatnia pszczoła krąży nad ostatnią różą
Wypogodzone ranki cale w nagim blasku

O jesieni która już się nie powtórzy
Obłoku niemy Wielomowny obłoku
O pszczoła w pożegnalnym tańcu nad przekwitłą różą
O moi zmarli w świetle jesiennego poranka

pozycję nauczyciela zatrudnionego w szkole dla umysłowo niedorozwiniętych.

Strój instrumentu Kozaka jest pianino-minorowy. Czyżby rzeczywiście wyraziło się w tym poczucie dysproporcji między rozsoloneczoną błogością dzieciństwa a stresami dorosłego człowieka, któremu lopianowy parów życia zmieniło na deptak miejskiego mrówkowca? Pisać na nucie resentmentu nie jest nowością. Można to powiedzieć o wymienionym już Czechowiczu, o Lechoni, ba, o późniejszym — po „Wiośnie i winie”, po „Wróblach na dachu” — Wierzyńskim. Jakoś konwencjonalnie przywykło się mniemać, że poezja łączy się z łzą, co widać nawet w zdawkowym powiedzonku „Tak piękne, że aż chce się płakać”. Ten element poezji Kozaka można by więc uznać za tradycyjny i tu też mielibyśmy przyczynek do ujrzenia w nim opozycjonisty wobec praktyki stosowanej współcześnie. Praktyki, mimo konkretności języka, udrapowanej na prentowanie rozdarcia metafizycznego (jak u Białoszewskiego i Różewicza), melancholijnej zadumy filozoficznej (jak u Kamieńskiego).

Ale czy ta obawa przed przekroczeniem słowem granicy autentycznych doświadczeń życiowych, to nie przesadny minimalizm? Chcielibyśmy napotkać treści przetworzone przez refleksję i zdolność do skojarzeń szerzej formatowych, a nie sam rudymet zapisu zatrzymanego na realiach doznanej przeżycia. Licho wie, czy Kozak w latach trzydziestych (gdyby życiorys pozwolił) nie byłby autentystą, jednym z najortodoksyjniejszych w stosunku do rygorystycznej teorii Czernika, która nawet szandarowemu autentysty — Janowi Bolesławowi Ożogowi — okazała się zbyt sztywną regułą zakonną. (Jak później Przybosiowi nie wystarczyła koncepcja Peipera i wyeliminował z niej wszystko, co pochodziło z intelektu — ten przysięgły przeciwnik emocji w doznaniu poetyckim. Taki bieg przybiera rozwój poetyk kierowany przecież nie samym rozwojem pojęć, ale również względami czysto osobistej rywalizacji).

Więc prawda, niezafalszowanie literatury — owszem, ale nie wystarczy sam znak jako sobie dane świadectwo poetyckiego faktu. Ta tendencja na samego autora zastawia pułapki sugestią, że cokolwiek autentyczne — jest głębokie, ważące, ludzkie. Przykładem „Czerwcowy zmierzch” z tomu „W cieniu ciszy”, który to wiersz pozostałby tylko zdawkowym zapisem nie odkrywczych spostrzeżeń, gdyby nie to, że:

...w stawie
coraz niżej
gwiazdziste
opada dno

Właśnie. Cokolwiek miałyby się powiedzieć o ciężkiej niekiedy ku banalowi bezpretensjonalności tego komunikatu, nie sposób nie zauważyć po drodze nadarzącej się deski ratunku w postaci sformułowania oryginalnie świeżego, wskazującego w tekst, jak pasażer, który wprawdzie za późno kupił bilet, ale jeszcze zdążył do już ruszającego pociągu.

Ale jednak kwestia: jak długo nieść przy sobie ten tobolek związany jeszcze we wsi rodzinnej, ile jeszcze rozczarowań wynikłych z przymiaru nieskażonej i nieodpornej wrażliwości do prawideł dorosłego życia w jak długo jeszcze nie zasymilowanym miejskim środowisku? Papierowym bohaterem Kawałka zostawny skoki ze skał z powodu niemożności przystosowania się do nowego środowiska nawet wtedy, gdy towarzyszy temu życiowy awans, nigdy przecież i przez nikogo nie bagatelizowany. Pozostać sobą, pozostać z sobą — tak, ale ta treść psychiczna musi podlegać ewolucji, która niechby była poruszana choćby potrzebą rozwoju środków wyrazu. (Przypomina się Paul Valéry: „Artysta jest ten, komu trudność związana z jego własnym rzemiosłem podsuwa idee”). Start to zawsze krok krótki. I już jest po starcie.

Zygmunt Mikulski

Henryk J. Kozak: „W cieniu ciszy”. Wydawnictwo Lubelskie, 1982, str. 80, cena 25 zł.

Cezary Listowski

INNY POMNIK

I czym zakwitną dzisiaj twoje wątle ręce
pisarza
pracującego od lat na trzech etatach:
rano — do pracy
pozwrot — do dzieci
i noc...
nie wydrukowałeś nawet jednej małej książki
a przecież najlepszy okres życia masz za sobą
I czym zakwitną twoje wątle ręce
pisarza
któremu piętnaście lat temu ktoś powtórzył
że ma talent
a pięć lat temu ktoś inny
że nie ma właściwej postawy ideowej
Na próżno lawirowałeś między scyllą serca
a charybdą samozachowawczego instynktu
między słowem prawdy
a słowem które miało szanse
Słowem które nie da ci spać po nocach
będzie od dziś „szuflada” nie „cenzura”
a przecież napisałeś sporo dobrych tekstów
których nikt nie odważył ci się wydrukować
i których nie już dzisiaj nie ocali
choć sprawy nie posunęły się daleko
leż to razy ogarniało cię zmartwienie
Jak masz nie wątpić dzisiaj?
Dobrze wiesz:
mnie cię wielu innych producentów słów
w których znajdzie się znowu to
co trzeba
Ty już nie wierzysz
Otworzysz gazetę
odnajdziesz w niej nazwiska starych i nowych
znajomych
I dalej będziesz po cichu robił swoje

Tomasz Skrzymowski

SEN O ŚMIERCI

Gdzieś u podnóża wiejskich kościołów
jawi się śmierć i czeka zmierzchu
aby zejść z chłodnych spleśniałych cokołów
skradać się w mrocznych pokładach szelustu

Gdzieś po ogrodach leśmianowskich cieni
wśród szeptów trawy i chrzęstu owoców
po ciepłej ziemi parującej z wolna
skrada się lekko zwiadowczyni nocy

Skrada się czujnie wśród cichych jarzębin
zdusza powieki i żrenice gąsi
wita ją pajdak w zawilościach przędzy
do nóg leniwa jaszczurka się lasi

I przyjdzie do nas na skrzydłach wieczoru
udając czarno-niebieskiego ptaka
wśród głębokiego snu w przeźroczu szyby
ujrzemy spokojne nieruchome oko

I będzie tak jakby się skończyło
wszystko co w życiu zdołano przetańczyć
i będzie tak jakby nic nie było
Aż wejdzie słońce na kształt pomarańczy.

NA TEJ ULICY

Na tej ulicy anioły chodzą w przydługich rękawach
śmiesznie się czasem płacząc
ale nikt się z nich nie śmieje
na tej ulicy

Na tej ulicy dzieci bawią się same ze sobą w okowatego
biegnąc wciąż w to samo miejsce
i ciesząc się z wygranej
nikt im nie mówi że tak się nie można bawić
że to nie ma sensu
na tej ulicy

Na tej ulicy nie widać długowłosych dziewcząt
odeszły w niepamięć i nie ma ich tutaj.
wylęcznie dlatego
nikt nie przebiera się dla nich w białe koszule
dziewczęta są absurdem
na tej ulicy

Na tej ulicy nikt nie mówi głośniejsz niż potrzeba
jest uważane za nietakt gdy ktoś krzyknie
okazują radość w inny sposób
na tej ulicy

Na tej ulicy mówi się dobry wieczór
nawet w południe
nikomu nie przyjdzie na myśl aby powiedzieć dzień dobry
nie mówi się że dzień ma różne porę
bo ich nie ma
jest dzień wieczorny
i tylko taki
na tej ulicy.

Hori-mono -bez kropli krwi

Andrzej Jelski

Względy techniczne zmusiły nas do opuszczenia bibliografii i przypisów, w które Autor zaopatrzył swój artykuł oparty na różnorodnej literaturze przedmiotu. Możemy tylko odnotować, że w pracy wykorzystane zostały publikacje W. D. Hambleya, R. H. Chamberlaina, J. W. Halla, S. Arutjunowa i G. Swietłowa, J. Batchelora, W. Bogorasa, R. Scutta i Ch. Gotcha, R. Zellera, Z. Chyba'ego, J. Tanizaki, Z. Alberowej (jedynego polskiego autora w tym re-jestrze).

TATUAŻ rozpowszechniony jest wśród wielu społeczeństw świata. Szczególnie atrakcyjną formę przybrał on jednak w Japonii, przez co w Europie uznawany był powszechnie za sztukę narodową Nipponu. Tatuak na tam bardzo bogatą tradycję, osadzoną głęboko w przeszłości, nie więc dziwnego, że badacze niejednokrotnie zastanawiali się nad jego proveniencją w Kraju Kwitnącej Wiśni, na ogół jednak nie wychodząc poza sformułowanie hipotez. Zbyt przy tym dużo supozycji i niejasności tkwi w o-wych genetycznych dociekaniach, by referować je na łamach pisma społeczno-kulturalnego. Wspomniemy więc tylko, że pochodzenie tatuauz niektórych wiąże z Chinami, inni zaś — ze starożytnym adem Ajnów, zamieszkującym niegdyś m.in. dzisiejszy Sachalin i Wyspy Kurylskie. Hipotezy te mają zdecydowanych przeciwników, którzy np. stwierdzają wręcz, że „prymitywny tatuaz Ajnów nie miał wpływu na rozwój tatuauz w Japonii”, albo podważają wiarygodność starych źródeł, mogących dostarczyć argumentów „orientacji prochińskiej” w nauce.

W samej Japonii znane są od dawna różne legendy dotyczące pochodzenia tatuauz. Najbardziej z nich rozpowszechniona ewokuje postać mitycznego cesarza Jimmu, pierwszego władcy japońskiego, żyjącego ok. 660-585 r. p.n.e. Noszone przezeń tatuauze musiały być efektowne, jeśli zdołały tak afascynować późniejszą cesarżową Senoyatara, że na ich cześć ułożyła poemat. Z kolei cesarz o imieniu Ohjin wsławił się tym, że posługując się językiem poetyckim, porównywał skalne ściany do tatuowanych mężczyzn. Legenda o cesarzu Jimmu stanowi podstawowy kanon aktualnej do dziś religii Japończyków, zwanej shintoizmem.

Funkcje tatuauz w dawnej Japonii jako pierwsi przedstawili podróżnicy chińscy, który w III w.n.e. odwiedzili Kraj Wschodzącego Słońca. W napisanej przed 297 r. kronice Wej-czy zanotowali oni, że na wyspach „szlachetnie urodzeni odróżniają się od pospółstwa tym, iż posiadają na twarzy rysunki”. Wiadomość tę podaje za japońskim badaczem Z. Ohya; podobne stwierdzenie można znaleźć w pracy R. Zellera, który pisze: „Jak potwierdzają ilustracje załączone do dawnych eposów i baśni japońskich, wydaje się, że w odległych czasach tatuauz był zarezerwowany dla klas uprzywilejowanych. Został on przez przedstawicieli tych klas zarzucony od momentu przyjęcia zwyczajów noszenia wytwornych strojów. Tatuauz przejęli więc prości ludzie. Najczęściej byli to osobnicy, którzy, częściowo obnażeni, pod gołym niebem pracowali fizycznie: jako tragarze, woźnice itp.”

W świetle powyższych informacji maleje wartość upożyczenia o przejściu przez dawnych Japończyków tatuauz z Chin, gdzie zastrzeżony był on do piętnowania przestępców.

Przypuszczalnie z wczesnego okresu historii Japonii pochodzą motywy: księżyc, gwiazdy i krzyża, spotykane później na ciałach japońskiej szlachty. Jak podają R. Scutti i Ch. Goth, „zwano je nevi i były one znakami dziedzicznymi”. Informację tę wspiera treść legendy o pomocy, jakiej dzielił niegdyś pewien rycerz cierpiącemu wilkołaki, któremu w gardle utkwiła kość. Nazajutrz po tym epizodzie człowiek ów, który nie mógł dotrzeć się potomka, znalazł porzucone niemowlę z czasem adoptował je. Był to dowód wdzięczności wilka, dodatkowo poświadczony blizną, jaką zostawił na ramieniu dziecka. Blizna ta będzie dalej dziedziczona przez potomków rycerza. Twierdzi się, że w tej nasyconej symboliką legendzie znajdują się niewątpliwie aluzje do tatuauz.

Począwszy od ok. V w.n.e. następuje istotny przełom w funkcji tatuauz na terenie Japonii. W Nihonshoki czyli „Kronice Japońskiej” (ukończonyj w 720 r.) odnajdujemy m.in. dwie wzmianki dotyczące interesującego nas tematu. Oto „w kwiecień pierwszego roku panowania cesarza Riteha (ok. 400 r.) Azumino Muraji i jego współnik Umimino Nojima zbuntowali się przeciwko panującemu władcy, za co zostali skazani na karę śmierci: W wyniku zastosowania aktu łaski, kara ta została umiarkowana na tatuowanie tuszem na czole i ramię”. Natomiast „w październiku jedenastego roku panowania cesarza Yuryaku (ok. 467 r.) Jimmu Uda został skazany na tatuowanie za złośliwe bicie drobiu pewnemu hodowcy”. Nihonshoki jest najstarszym dokumentem w Japonii, mówiącym o zastosowaniu tatuauz jako rodzaju kary.

Represja, to, początkowo zapewne sporadycznie egzekwowana, z czasem została usankcjonowana, otrzymując nazwę Mesaku. Przymusowe tatuowanie przestępców zastąpiło popularne przedtem skazywanie na obcięcie nosa lub ucha. Ten stosunkowo łagodny środek represyjny, będący rezultatem humanizowania się prawa karnego w dawnej Japonii, przysłużył się fatalnie w późniejszym okresie reputacji tatuauz, kiedy spełniał on już prawie wyłącznie funkcję zdobniczą. Przy okazji warto wspomnieć, że w Nihonshoki można też znaleźć dawne określenie dla tatuauz — Hitakizamu.

Przeprowadzona reforma ustawodawstwa prawnego, zwana Taika (645 r.), doprowadziła do uchylenia piętnującego znaczenia funkcji tatuauz. W burzliwym okresie Kamakura (1185-1333), kiedy



XIX-wieczny tatuaz japoński.

do władzy doszła — jak to określa J. W. Hall — „provincialna arystokracja militarna (tak zwani bushi lub samurajowie)” oraz ustanowiono po raz pierwszy w Japonii zwierzchnictwo militarne o szerokich uprawnieniach cywilnych (shōgunat) — kara w postaci tatuauz istniała en litte, ale w rzeczywistości nie była egzekwowana. W późniejszych latach znów ją restytuowano i stosowano powszechnie jeszcze w okresie Tokugawa. Analogiczną zresztą funkcję w tym czasie spełniał tatuaz w Europie.

Początkowo tatuauze karne miały nieskomplikowane kształty. Były to przeważnie linie proste wykonane czarnym tuszem, umieszczone z reguły na górnych częściach ciała, np. na przedramionach, ramię, a w szczególnych wypadkach nawet na twarzy. Liczba tatuowanych kresk świadczyła o tym, czy przestępca był recydywistą, czy też nie. Z czasem forma tatuauz karnych została zróżnicowana w zależności od charakteru popełnionego przestępstwa. Nic więc dziwnego, że różnego autoramentu kryminaliści po wyjściu na wolność, chcąc zatrzeć swą przeszłość, przekształcali kompromitujące ich motywy. Zresztą w późniejszych wiekach, aż do chwili obecnej, wielu przestępców nosi tatuauze, zanim po raz pierwszy trafi do więzienia. W rezultacie upowszechnienia się takiego zwyczaju — każdy tatuaz stał się symbolem prowadzenia życia przestępczego.

W XVII w. tatuaz okazał się popularny wśród kobiet lekkiego prowadzenia, które można było odróżnić po specjalnych motywach, notabene noszonych przez japońskie córy Koryntu do dziś na lewym przedramieniu lub na dłoni, a więc w miejscach łatwo widzialnych. Do najczęściej spotykanych motywów wśród kobiet podjęzanej konduity należały: inicjały, imiona, kreski, punkty, księżyc, góra Fuji, zwierzęta, owoce itp. Większość z nich miała charakter symboliczny, np. brzośkwinią oznaczała w sposób umowny dyskretną część ciała damskiego, natomiast banan — dyskretny fragment ciała męskiego. Konsekwencją tak ścisłego związku tatuauz ze światem przestępczym była odrada do tego zwyczaju, zwłaszcza wśród przedstawicieli wyższych warstw społecznych w Japonii.

O ile początki japońskiego tatuauz — jak podaje Kojiki — sięgają VII w. p.n.e., to jednak efekty działalności wielu pokoleń rodzimych tatuatorów aż do XVII wieku nie stanowiły większej wartości artystycznej, ograniczając się do nieskomplikowanych motywów, które przez wiele stuleci po prostu powielano. Nic w tym zresztą dziwnego, skoro dotychczas tatuauz był domeną ludzi z gminu, i świata przestępczego, pełniąc na ogół funkcję praktyczną. Kulturę Japonii kształtowała warstwa panująca, mieszczaństwo było jeszcze za słabe, aby narzucić swój smak artystyczny ogółowi.

Sprzyjający klimat dla bujnego rozwoju sztuki, jaki stworzyły XVII-wieczne wydarzenia historyczne, których podstawą było zjednoczenie całego kraju, rozbitego dotąd na wiele drobnych i skłóconych ze sobą daimiatów, oraz idące za nimi przeobrażenia w społeczno-ekonomicznej strukturze Japonii w okresie Edo (1615-1868) — spowodowały narodzenie się m.in. wspaniałego tatuauz artystycznego jako odrębnej gałęzi sztuki.

Jak pisze Z. Alberowa — „Nowy wielkorządca Japonii siołgan Tokugawa obrał jako siedzibę rządu Edo, dzisiejsze Tokio. Z niewielkiej osady Edo rozrosło się rychło w wielkie, tętniące życiem miasto, do którego napływać zaczęli z nęcenia nadzieją zarobków rzemieślnicy, kupcy, literaci, aktorzy, dziewczęta lekkich obyczajów, zapasnicy i kuglarze. [...] Coraz silniejszą ekonomicznie rolę zaczęło odgrywać bogactwo się w handlu mieszczaństwo. Należy dodać, że w japońskiej hierarchii społecznej mieszczaństwo stanowiło warstwę najniższą, nie posiadającą prawie żadnych przywilejów, poza pieniędzmi. Pozbawieni szansy społecznego awansu, poddani sztywnym nakazom regulującym ich styl życia, rekompensowali sobie te ograniczenia w dziedzinie łatwej przyjemności. Rozwinęli kulturę szczególnego rodzaju, dość powściągliwą, która wypowiadała się w upodobaniu luksusowych wyrobów rzemiosła artystycznego, w obyczajowej powieści, w dramacie, w nowo powstałym, popularnym teatrze kabuki i teatrze lalek bunraku, w rozwiązłym stylu życia dzielnicy uciech nazywanej w Edo — Yoshiwara” („miasto, w którym nie zapada noc i w którym królują gejsze”), w drzeworycie Yukiyo oraz w artystycznym tatuauz. Jak świadczą liczne dokumenty z tej epoki, uważano, że nadeszły czasy Miroku, bodhisattwy, którego przyście zwiastowało nastanie raju na ziemi.

Ta gwałtowna nobilitacja tatuauz, który urósł do rangi wyrafinowanej sztuki, spowodowała ustalenie się wysokiego prestiżu niektórych, najbardziej wziętych tatuatorów japońskich, zwanych Hori. Nazwa ta pochodzi od czasownika „Hori”, który w przybliżeniu ma oznaczać czynność „rytowania” lub „kopania”; natomiast słowo „Hori-mono” odpowiadało pojęciu „tatuaz”, wprowadzonymu do literatury europejskiej dopiero pod koniec XVIII w. Znane są do dziś w Japonii nazwiska słynnych mistrzów tatuauz z okresu Edo. Do najwybitniejszych Hori należeli: Teharibunn, Hori-Yuwa, Karakusa-Gonta, Kon Konjiro, Nakamon, Kaneto, znany ze skłonności sadystycznych Yakohei, Darumakin — znakomity tatuator pici pięknej oraz legendarny Iku, autor głośnego tatuauz przedstawiającego starą kobietę cerującą ubranie chłopcu.”

Na czym polega odrębność i oryginalność japońskiego artystycznego tatuauz, którego geneza przypada na okres Edo? Prace japońskich mistrzów tatuauz odznaczają się m.in. następującymi cechami kompozycyjnymi, które — co może warto wiedzieć — w prawie nie zmienionej formie przetrwały do chwili obecnej: rozległością, obejmującą czasami prawie całą powierzchnię ciała, z wyjątkiem twarzy, dłoni i stóp — zastrzeżonych przypuszczalnie dla przestępców; wypracowaną asymetrią w odróżnieniu np. od drobiazgowej symetrii sławnego klasycznego tatuauz Maorysów z Nowej Zelandii; występowaniem wiodących motywów; wprowadzeniem licznych drobniejszych form, niekiedy oplatających wiodące i zapelniających ściśle powierzchnię danego fragmentu ciała; figuratywnym charakterem motywów wiodących, a geometrycznym drugorzędnych; zarysowaniem wszystkich motywów wyraźnym, dekoracyjnym konturem; występowaniem bogatej gamy kolorystycznej (choć znane są też tatuauze białe, widoczne dopiero po wypiciu alkoholu przez nosiciela; eksploatacją tych możliwości wyrazu, jakie podsunęła natura w postaci budowy ciała ludzkiego (np. aby podnieść stopień ekspresji dynamicznie potraktowanych scen i uwidocznienie ruch, wykorzystywano znajomość rozmieszczenia mięśni, które w trakcie ich napinania i rozluźniania wywoływały pożądany efekt; a brodawkę sutkową i pępek dyskutowano nie dla określenia akcentów humorystycznych rysunków, popularnych w europejskim tatuauz, lecz jako niezbędne elementy motywów, np. jako oko smoka lub środek kwiatu). Poza tym niektóre „obrazki” potraktowane bywały dynamicznie (np. walki samurajów) inne — statycznie (np. postacie zniewalających wdziękiem gejsz), a większość kompozycji i motywów jest przemyślana i zaprojektowana w detalach przed przystąpieniem do pracy, przeto dzieło powstaje na ludzkim ciele w niczym nie różni się od projektu i umieszczone jest na z góry zaplanowanym miejscu, w przeciwieństwie do chaotycznie rozmieszczonych graffiti zdobniczych kończyn lub tułów większości przedstawicieli np. europejskich środowisk przestępczych. Dodajmy na koniec, że kompozycje wykańczane są poprzez uzupełnianie miejsc na pobieżnych ornamentem geometrycznym lub tekstami — z pozostawieniem pustych powierzchni na szyi, piersi oraz kończynach, aby całość przypominała zarzucone na postać kimono.

Magia ziół

Dostępne na naszym rynku, bądź nadające się do uprawy na działkach czy balkonach, zioła kulinarne mają swoją historię i właściwości, o których warto wiedzieć, albowiem obyczaje i tradycje żywieniowe ewidentnie świadczą o kulturze społeczeństwa. „Zyciorysy” popularnych roślin zielonych publikujemy za pionierską na gruncie polskim książką Mariana Kawalki pt. „Historie ziołowe”, która w roku 1983 ukaże się nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej w Lublinie. (Red.)

Bazylija pospolita

Marian Kawalko

BAZYLIJA POSPOLITA, zwana też wonną (*Ocimum basilicum* L.), pochodzi z Indii Wschodnich. Pewien gatunek bazylii (*Ocimum sanctum*), z którego korzeni jeszcze obecnie wyrabia się czasem w Indiach ludowe naszyjniki i bransolety, był poświęcony niegdyś lokalnym bogom: Wisnu i Krishna. Natomiast bazylię wonną można spotkać tu i ówdzie w ogródkach hinduskich pod nazwą „brumsilk”.

Bazylię znano również w antycznej Grecji, hellenistycznym Egipcie oraz państwie rzymskim. U Teofrasta (372—287 p.n.e.), Hipokratesa (460 — około 377 p.n.e.) oraz Dioskoridesa (I wiek naszej ery) występowała pod nazwą „okimon”, co wiązało się z jej wybitnie aromatycznym smakiem i zapachem. Kolumella oraz Pliniusz zwali ją natomiast „ocimum”. Początkowo pisano „wiele złego o bazylicie, twierdząc, że jest szkodliwa dla żołądka, mocz i klarowności moczu. Nadto, że sprawnia szaleństwo, letargi i choroby wątroby”. Niektórzy przypisywali jej zdolność rodzenia... skorpionów oraz szkodliwych owadów (insekty). Dopiero przy końcu starej ery „doświadczenie nauczyło — jak pisał Pliniusz — iż zapach ocimum w oczie bardzo jest pomocnym na młodości. Ze przykładana z olejkami różanym, mirtowym, albo z octem usmierza bóle głowy, a z winem — cieczenie z oczu. Ze żołądkowi służy, a z octem zażyta uwalnia od wzdymań i odbijania. Ze przykładana uryną pedzi i wstrzymuje biegunkę” (Him. J. Łukaszewicz, 1845). Tak przeciwstawne sądy o ziole spowodowane były starciem się pierwotnych wierzeń i nie potwierdzonych empirycznie przesądów z wynikami doświadczeń ówczesnej medycyny.

Bazylii pospolitej, obok goździków, przypisywano także cechy apotropalne (magiczne), czego dowodem mogą być nawet niektóre obrazy XVI-wiecznego malarstwa zachodnioeuropejskiego. Sądono również, że liście rośliny, przykładane do piersi kobiety karmiącej, zmniejszają sekrecję mleka, zaś podawane zwierzętom w karmie, pełnią rolę afrodyzjaka. Odróżniano przy tym odmianę uprawową i dziką — mającą silniejsze działanie terapeutyczne.

We wczesnym średniowieczu euforia wokół bazylii jakby trochę osłabła — poniekąd zresztą słusznie. Z pism Albertusa Magnusa wiadomo, że Germanie przyjęli roślinę do uprawy w XII stuleciu, przy czym sposoby jej medycznego użycia ściśle korespondowały z zaleceniami świętych starożytnych. Natomiast lekarze arabscy widzieli w bazylii lek na dolegliwości wątroby.

Zioło musiało być znane i u nas, jednak tylko z przekazów rękopiśmiennych. Wymieniał je w swoim

spisie leków, datowanym na lata 1465—1472, kanonik krakowski, Jan Stanko oraz nieznany autor innego antydotariusza z lat 1411—1419.

Wiarygodną informację przytoczył Marcin z Urzędowa, według którego „bazylika większa z innych krain naszych czasów do Polski przyniesiona w Krakowie, gdzie prawy, wypolerowany język polski, wszyscy zowią bazylika”. Proszę zapamiętać przybliżoną datę powstania tego tekstu: lata pięćdziesiąte XVI stulecia.

Można zatem przyjąć, że bazylija wonna dotarła do Polski w wieku XVI, zapewne z kulinariami włoskimi. Aczkolwiek *Ocimum basilicum* znana już prawie cała Europa, to jednak daremnie szukać jej wśród ówczesnych przypraw żywnościowych. Dopiero gdzieś około połowy wieku XVII zaczęły ją wymieniać francuskie dziełka quasi-kulinarne, a na dobre w kupiła się ona w łaski paryskich kucharzy prawdopodobnie w latach dwudziestych lub trzydziestych następnego stulecia. Nowa ingrediencja zainteresowała także Niemców oraz parę innych krajów ościennych.

Anonimowy autor „Neues Lexicon der französischen, sächsischen, österreichischen und böhmischen Kochkunst” (Prag u. Wien, 1785), korzystający zapewne z oryginalnych dzieł gastronomicznych autorów włoskich i francuskich, bądź tylko z dobrych tłumaczeń, zalecał dodawać przyprawę m.in. do: — „stufato”, czyli wołowiny po włosku (rozdrobniona bazylija wchodziła, obok nieodłącznego tymianku, pieprzu, liści laurowych, czosnku, cebuli, goździków i słoniny, w skład specjalnego sosu w którym duszono mięso);

— szpinaku po włosku, duszonego w niewielkiej ilości bulionu z rozdrobnioną cebulą, pieprzem, gałką muszkatołową i bazylią, który zagęszczano masłem i mąką, a w końcu przecierano;

— białej fasoli, gotowanej z nacią pietruszki i bazylią oraz siekaną cebulą (kuchnia francuska).

Można przypuszczać, iż być może kucharze Katarzyny Medici, którzy wywędrowali wraz z nią do Francji w wieku XVI, przyczynili się do rozpowszechnienia bazylii jako przyprawy w tamtejszej gastronomii.

A co na to kuchnia staropolska?

Otóż zarówno prekursor podręczników z zakresu towaroznawstwa żywnościowego, M. Stanisław K. Hercius (1660), jak też jego imiennik Czerniecki (1682) bazylię pominieli milczeniem, zalecając natomiast inne zioła aromatyczne (rozmaryn, szalwii, majeranek, bukwicę, anyż, a raczej wódkę anyżkową, szafran, kolendrę, gorczycę). Dopiero Wojciech W. Wielątko (1749—1822), jawny frankofil i niezły znawca historii naszych rodów szlacheckich, w

osławionym przez Mickiewicza „Kucharzu doskonałym” (1786, edycja druga — poprawiona) zamieścił szereg przepisów z udziałem *Ocimum basilicum*. Było to tłumaczenie jakiegoś dzieła paryskiego — zatem wszystko jest jasne.

Gwoli ścisłości historycznej — tekst wymienionej książki kładziono pod prasy drukarskie jeszcze parokrotnie (także w roku 1812) — i wydaje mi się, że było w tym również coś z nastrojów pronapoleońskich. Nie my jedni odczuliśmy presję mody francuskiej. Szereg przepisów zaczerpniętych od paryskich mistrzów wykwińskiego ży-



Rys. Maria Tyzenhaus

wienia trafiła też do niemieckich oraz szwedzkich podręczników kucharzkich. Spróbujmy wypisać choćby kilka potraw francuskich aromatyzowanych bazylią, dorzucając jeszcze parę receptur reprezentujących tzw. „ziolową frację” kuchni pruskiej i angielskiej:

- gotowane warzywa mieszane — jako dodatki do „bullionu czyli potażu” (z franc. potage — zupa);
- zalewa do konserwowania szynki, przyprawiana bazylią, tymiankiem, majerankiem, rozmarynem i przyprawami kolonialnymi;
- wywary, w których gotowano mięso wołowe, baraninę i drób (zioła wiązane w pęczek i wkładano do gotujących się porcji);
- sucha zaprawa do mięs (saletra, imbir, liść laurowy, sól kuchenna, tymianek, bazylija);
- niektóre mięsa duszone w sosach, powstałych z częściowego wygotowania bulionu i zagęszczonych masłem oraz żółtkami gotowanymi na twardo;
- wołowina a la vinaigrette (mięso wołowe duszone w sosie z wody i wina, dosmakowywano zieleń cząbrku, bazylii, majeranku i tymianku, a także goździkami i pieprzem, sos po tzw. „wysadzeniu” cedzono i mieszano z niewielką ilością octu).

Kuchnie Kaukazu i Gruzji wykorzystują *Ocimum basilicum* zarówno w postaci siekanego świeżego zioła, jak również sproszkowanego suszu. Surowe zioło trafia do surówek i salatek, a także niektórych potraw rybnych oraz zup wykończonych przed podaniem zieleniną. Natomiast susz dodaje się w różnych kompozycjach do duszonych ryb, sosów, gulaszów, farszu mięsno-rybowego do kabaczków, rybnych zapiekank, kotletów mielonych, zwanych po azerbejdżańsku „gimja czygirtma”, pilawu z kurczakiem itp., itd.

Bazylię traktuje się dzisiaj w Europie głównie jako papierek lakmusowy kuchni włoskiej. Oto garść przykładów:

- zupa jarzynowa z bazylią;
- przecierana zupa pomidorowa (ze

świeżych pomidorów oraz cebuli duszonych wstępnie z ziołami: bazylią i tymiankiem, a następnie zalewanych wywarem mięsny i dosmakowywanych solą, pieprzem, cukrem);

— spaghetti z pomidorami i zieloną fasolą (bazylija — jako aromatyzator warzyw duszonych w oleju);

— pieczeń wołowa duszona, nacierana przed obsmażeniem suszoną bazylią;

— wątroba duszona w warzywach (aromatyzatory potrawy: pieprz i papryka, dodane na początku obróbki termicznej, oraz wino czerwone, bazylija i sok z cytryny — przy końcu duszenia);

— ragout z ryb;

— sos boloński do spaghetti, zwanego „pastasciutta”, lub innych makaronów, oparty na warzywach (cebula, pietruszka, marchew, pomidory, czosnek), zrumienionych wstępnie z mięsem i przyprawionych;

— pomidory z nadzianką rybią;

— jajecznica z pomidorami po włosku.

Dotychczasowe zalecenia kulinarne odnośnie bazyliowego zioła (świeżego lub suszonego) przyjęły współcześnie charakter na pół obowiązującego kanonu. Dla eksperymentatorów pozostawiono tym samym pewien margines, który można wypełnić własną inwencją, uwarunkowaną przecież upodobaniami smakowymi, wymogami dietetycznymi itd. Niektórzy, przykładowo, stosują świeże listki bazylii jako aromatyczny dodatek do kanapek, twarożków, omletów, zielonej sałaty, majonezu, masła (tzw. masło bazyliowe). Susz bazyliowy okazuje się być również oryginalną przyprawą zup jarzynowych, potraw z drobiu, pizzy, gotowanej marchewki i fasolki szparagowej, marynat warzywnych, a nawet 4—6-procentowego octu (na podobieństwo octu estragonowego).

Suszone liście bazylii — o czym jeszcze warto wspomnieć — rekomenduje się również tu i ówdzie jako przyprawę soku pomidorowego oraz konserw warzywnych, zaś Francuzi i Grecy aromatyzują nimi salatek z krabów.

Wielowiekowa tradycja nakazuje stosować bazylię wonną szczególnie w kompozycjach następujących:

a) proszek bazyliowy, proszek z liści rozmarynu (surogat pieprzu prawdziwego);

b) susz bazyliowy, tarte ziele cząbrku;

c) suszone liście gorczycy, czosnek, bazylija, nać pietruszki, sól, pieprz;

d) bazylija — susz, zielona papryka, czosnek, estragon;

e) goździki, tymianek, bazylija, ewentualnie liście laurowe;

f) tymianek, bazylija;

g) tymianek, bazylija, nać pietruszki, goździki, sól;

h) tymianek, bazylija, goździki, liście laurowe, sól, pieprz, nać pietruszki, cebula;

i) bazylija, tymianek, liście laurowe, gałka muszkatołowa, cebula, czosnek, nać pietruszki;

j) bazylija, tymianek, rozmaryn, cebula, czosnek, sól, pieprz;

k) bazylija, tymianek, majeranek, rozmaryn;

lub w kombinacjach pokrewnych, zależnie od rodzaju potrawy.

Ziolołecznictwo w krajach Europy Środkowej nie przejawia zbytniego zainteresowania rośliną. Jedyne lecznictwo ludowe używa jej zewnętrznie na trudno gojące się rany oraz do kąpiei kosmetycznych. Sporządzane są także napary bazyliowe, które podaje się przy uporczywych kaszlach, w stanach spazmatycznych pochodzenia nerwowego, biegunkach lekowych (np. po zażyciu sulfonamidów), przy braku apetytu oraz stanach zapalnych żołądka.

Gdyby zamiast sumariusza postawić zagadnienie takie: bazylija tu i teraz — to należałoby odpowiedzieć, iż jest to zioło z bogatą tradycją, skromną współczesnością i obiecującą perspektywą na przyszłość.

NOWOŚCI

WYDAWNICTWA LUBELSKIEGO

PROZA

Jurij Jankowski: „Jeźdźcy”, tłumaczyła z ukraińskiego Maria Dolińska, str. 92, zł 42.

Ryszard Jegorow: „Zemsta księcia”, str. 400, zł 55.

Andrzej Krzpekowski: „Śpiew kryształ”, str. 176, zł 40.

Tadeusz Kwiatkowski-Cugow: „Główna gonitwa”, str. 149, zł 25.

Władysław Strumski: „Antyczni bracia”, str. 286, zł 41.

Monika Warneńska: „Podziemny trop”, wyd. II, str. 176, zł 17.

POEZJA

Waldemar Dras: „Wyspa, kij”, str. 91, zł 30.

Henryk J. Kozak: „W cieniu ciszy”, str. 80, zł 25.

Eda Ostrowska: „Ludzie, symbole i chore kwiaty”, str. 91, zł 13.

Wacław Oszałca: „Z głębi cienia”, str. 87, zł 10.

HISTORIA

Mirosław Derecki: „Tropem majora „Hubala”, str. 320, zł 80.

Jerzy Łojek: „Potomkowie Szczęsnego, dzieje fortuny Potockich z Tulczyńna”, str. 325, zł 49.

Stefan Majchrowski: „Wincenty Pol”, str. 228, zł 40.

„Ustawa o nacjonalizacji przemysłu w Polsce” — z serii: „Dokumenty naszej tradycji”. Str. 47, zł 10.

MAANAM!

SIEDM lat temu byłem w Warszawie gościem Marka Jackowskiego, w owym czasie redaktora „Jazz Forum”, człowieka z bogatą przeszłością muzyczną. W wynajętym mieszkaniu na Żelaznej Bramie spędziłem kilka godzin na rozmowie o planach Marka, który rozstał się właśnie z orientalizującym Ojaniem i zaczął o powrocie na scenę. Zamierzenia miały być ciekawe, owszem, ale hippisowskie intelektualista i entuzjasta psychodelii nie wdominał wówczas, że wkrótce swe przyzwyczajenia z mocnym, elektrycznym rockiem. Zdawało mi się, że rockową edukację ma dawno za sobą i wybierze inny kierunek nastrojów. Postawił jednak na muzykę młodzieżową i był to trafny wybór.

W ciągu trzech lat ekspansywnej działalności, kierowana przez Jackowskiego grupa Maanam zrobiła furorę. Dowodem — entuzjastycznym słuchaczy na koncertach, czy niespotykane powodzenie pierwszej płyty długogrającej (sprzedawanej przez „koników” z kilkunastokrotnym zyskiem). Powodzenie Maanamu było kompletnym zaskoczeniem dla wielu ludzi z branży estradowej. Nikt nie spodziewał się dynamicznej muzyki, nawiązującej do Nowej Fali, po faciecie z taką przesłonięciem (Vox Gentis, Anatos, Ojani). Znaczenie lepsze rozemnie wykazali młodzi fani, od początku upatrujący w Maanami swego idola.

Już pierwsze koncerty grupy robiły ogromne wrażenie. Nie dlatego przecież, że solistka Kora ostrzyżona na rekruta miodła się po scenie w lunatycznym tańcu. Entuzjastów klasycznego rocka podrywała ognista rytmika przedstawianych kompozycji, szokowały teksty z pogranicza pure-nonsensu, trudne do zaakceptowania nawet po kilku przesłuchaniach. Ich autorka, a zarazem wykonawczyni, uprawiała igraszki słowne obwieszając zdumionej publiczności, że uwielbia szampana w Buenos Aires, nie ma nic wspólnego z żądzą pieniądza i świetnie czuje się w pozycji stojącej. Jeśli dodało się do tego inne jej określenia w rodzaju: *oddech szczerza, szal niebieskich ciat czy paranoja, nawet najbardziej „nawiedzeni” miłośnicy rocka słuchali z niedowierzaniem i obawą, czy drapieżna solistka Maanamu nie robi aby z nich „balona”.* Kora była jednak uparta i konsekwentna. To, co jednym mocno bulwersowało, szybko zyskiwało akceptację setek innych. Wielce pomocne w tym względzie okazały się środki masowego przekazu, lansujące absurdalne piosenki grupy. Kora miała cenny atut — dobrze ustawiony głos i doskonałą dykcję. Wspomagała ją silnie zrytmizowana muzyka z ekspresywnymi rifami gitary. Pod wpływem tak przekonujących argumentów musieli ugiąć się nawet najwięksi malkontenci.

W ostatnich dwóch latach Maanamoi trudno było znaleźć konkurentów. Inne zespoły grupa nokautowała porównując melodykę, żywiołowość wykonania, śmiałość wyznań oraz rosnącą z dnia na dzień sława. W świetle tych faktów ekscentryczna Kora pozwalała sobie na wywady, uroczyście czytelnikowi bądź słuchaczowi wyjątkowość zjawiska Maanam. Wiele w tym było pozorstwa i tupego, ale one zapewniły grupie otoczkę „instytucji” niesamowitej, a więc innej, wartiej bliźszego nam bliźni. Pierwszym koncertem Kory i Maanamu towarzyszyło zresztą demoliowanie sal,

co groziło zespołowi swoistą izolacją. Złą pasję przełamali dopiero występ na festiwalu opolskim (1989) i nagroda za kontrwersyjną piosenkę „Boskie Buenos”. Od tej

chwili i tak w niołowaniu poczytnego wśród młodzieży „Non Stopu” grupa Maanam zajęła czołowe pozycje aż w ośmiu kategoriach! Taki wyczyn nie udało się żadnej z



porę plątki muzyków awansowała do roli stałego gościa programów radiowych i telewizyjnych, które z kolei nakreślały konturację pierwszej płyty długogrającej. Zrealizował ją zespół jesienią 1989 r. w lubelskim studiu „System” i muszę powiedzieć, że zrobił to wspaniale. Kilka piosenek zyskało sławę super-szlageru. Później Maanam trafił do filmu „Wielka majówka”, zapewniając tym samym kasę przeciętnemu dziecku Krzysztofa Rogulskiego.

Dużą aktywność nagraniową (w tym drugi album dla „Polijazu”) pozwoliła Kora i jej kolegom na zdominowanie dorocznego plebiscytu najpopularniejszych wykonaw-

krajowych sław. Świadczy to, że energia i pomysłowość spółki autorskiej: Kora i Marek Jackowski znalazły akceptację szerokiego rzesz zwolenników rocka.

Dzisiejszy Maanam nieco mniej szokuje tekstami, ale gra znakomicie, z dużym smakiem i znajomością rockandrolowej tradycji. Nie dziwię się przeto zachwytom młodych fanatyków tej muzyki, wykładającym kilkanaście banknotów z wizerunkiem Waryńskiego na zakup pierwszego albumu Maanamu. Szczerze mówiąc, sam chciałbym go mieć.

Istvan Grabowski

Kłopoty z nazwiskami

W POPRZEDNIM numerze „Kamenny” pisałem o zabawnych zdarzeniach, towarzyszącym zmianom nazw różnych miejscowości. Dziś natomiast chciałem opowiedzieć o problemach osób noszących niecodzienne, smieszne czy też dziwne nazwiska.

Czasami wydaje mi się, że niektóre nazwiska nadano ludziom przez słońce, czy też dla kawału. Jakże bowiem inaczej wytłumaczyć proveniencję takich, jak: Moczygoba, Twardodupek czy też Podziadzianny?

Szczególnie dużo podobnych nazwisk spotyka się wśród górali; w dodatku są oni bardzo do nich przywiązani i nawet nie chcą słyszeć o zmianie familijnego znaku. Nic też nie robią sobie z tego, że komuś wydają się śmieszne, czy rażą delikatne uszy urzędników. Stąd dochodzi czasami, a przynajmniej zdarzało się w przeszłości, do zmiany nazwiska na drodze urzędowej. Tak było we wczesnych latach pięćdziesiątych z góralską rodziną Pizdów, której z polecenia władz wojewódzkich zafundowano nowe nazwiska: Suchodołscy. Zrobiono to mimo zdecydowanego protestu delikwentów, ogłaszając rzecz w komunikacie krakowskiej WRN, który zamieściła miejscowa gazeta Góral. Jednak dalej podpisywali się starym nazwiskiem i nie przyjmowali żadnych urzędowych przesłanek adresowanych na nowe. Ponieważ wśród zwracanych korespondencji były wezwania podatkowe, adresaci napisali sobie trochę kłopotów i musieli tłumaczyć się w pewnym urzędzie. Nie, daj jednak za wygraną i po Październiku rozpoczęli starania o przywrócenie im zabranego nazwiska. Pomimo liberalizacji życia społecznego w kraju, sukces górali był tylko połowiczny. Krakowskim targiem ustalono, że odnowa odnowa, ale do dawnego nazwiska wrócić nie sposób. Aby jednak nie ranić przywiązania górali do owego znaku specyficznej tradycji rodowej ustalono, że nowy będzie brzmiał jakby podobnie — Pezda. I to rozwiązanie obydwie strony przyjęły z zadowoleniem.

Z czasów moich pierwszych kroków dziennikarskich zapamiętałem jednego z korespondentów krakowskiego „Dziennika Polskiego”, noszącego nazwisko, które może się przynić w gorące. Ow młodzieniec, nadsyłający informacje z rodzinnej miejscowości Emilia Zagadłowicza, nazywał się po prostu: Hufdus. Nazwisko to nie pojawiło się jednak pod jego drukowanymi tekstami, jako że w owym czasie prawo do pełnej sygnatury mieli w gazecie jedynie etatowi dziennikarze. Wszystkie materiały korespondentów terenowych sygnowano tylko pierwszą sylabą nazwiska, co w tym przypadku stwarzało dodatkową radość wśród czytelników. W redakcji nie bardzo wiedzieli, kto ten przepiękny wydat i nikt nie chciał podjąć decyzji, aby w tym indywidualnym przypadku zarządzenie zmienić. Natomiast po pewnym czasie zmienił nazwisko korespondent i czytelnicy stracili doskonałą zabawę...

W niezbyt odległych latach prezydentem Lublina był Stanisław Bora, a jego zastępcą Czesław Gąsarczyk. Wtedy właśnie Urząd Miejski lansował budowę kilkunastu basenów kąpielowych, która to inwestycja niezbyt się udała. Stąd też w kabarecie „Czart” Włodzimierz Wiszniewski mówił: — Baseny? Ta inwestycja jest jeszcze w lesie. Przepraszam, nie w lesie, a w Borze. Co ja mówię w Borze, w Gąsarczyku...

Młoda lubelska dziennikarka, Anna Bocian, miała szefa, który w żaden sposób nie był w stanie zapamiętać jej nazwiska. Stale wymyślał jakieś nowe, wywodzące się od nazwy ptaków i zwierząt. Wyglądało to mniej więcej w ten sposób: — Powiedzenie, niech wpadnie do mnie koleżanka Zaba. — Ona nazywała się Bocian, panie redaktorze. — To ten Bocian też niech przyjdzie. Przychodzi Ania, a naczelny witaj ją już w progę: — Jak się macie, koleżanko Wrona...

Przed kilkoma laty występował w naszym teatrze aktor Stanisław Jaskółka, góral z Nowego Targu, który jak sam twierdził, ma tak niecodzienną piosenkę nazwiska, gdyż w czasie chrztu kościelny był mocno pijany i tak go zapisał w księdze parafialnej. Aby uniknąć pomyłek, Staszek już w czasie prezentacji oznajmił każdemu: — Jestem Jaskółka przez „u otwarte”. Tak też zrobił, kiedy otrzymał wezwanie na ćwiczenia wojskowe. Na to starszy sierżant, prowadzący ewidencje, powiedział z rozżaleniem: — A wy, podchorąży, to myślicie, że jak w urzędzie siedzi starszy sierżant, to nie wie, że Jaskółka pisze się zawsze przez „u otwarte”.

Obecnie natomiast mamy w naszym teatrze aktora o niecodziennym imieniu Krystyn. Stąd też wiele pomyłek pracowników, których nie ustępem się nawet recenzent teatralny, pisząc o znakomitej kreacji Krystyny Wójcik. Okazuje się, że można być recenzentem nie chodząc do teatru.

Maciej Podgóski

Kazimierz Pawełek

Książnica Łopacińskiego

Dokończenie ze str. 1

Po Łopacińskim został — gromadzony przezeń 20 lat — bardzo cenny zbiór bibliofilski: ponad 11 000 tomów oraz liczne inkunabuly, manuskrypty, ryciny, atlasy... Pozytywiści z nowo powołanego Towarzystwa, choć ulegali pewnym złudzeniom, zaliczali się na ogół do ludzi trzeźwych i praktycznych, a ponieważ już wtedy było wiadomo, że światem rządzi pieniądz, więc powstał problem — za ile? Bibliofilską spuściznę Łopacińskiego oceniono na potężną kwotę 15 000 rubli, ale spadkobiercy zmarłego godzili się na 5 000 rubli, także zresztą grosz niemały, skoro na przykład najwyższa roczna pensja nauczycielska Łopacińskiego wynosiła 1250 rubli.

W każdym razie transakcję zawarto, choć pod warunkiem spłat ratalnych, i już w sierpniu 1908 roku w gmachu poddominikańskim udostępniono czytelnikom wstępnie uporządkowany księgozbiór (do korzystania na miejscu). W ten oto sposób powstała druga — po warszawskiej (1906 r.) — biblioteka publiczna w Kongresówce i dla Lublina to było wydarzenie.

„Gdy zgasi zasłużony badacz rzeczy polskich, Hieronim Łopaciński, znalazło się grono osób, które postanowiły nie dopuścić, ażeby zmarnowała się biblioteka zmarłego, a nawet zrobić ją zawiązką biblioteki publicznej” — odnotował Bolesław Prus w „Kroni-

kach tygodniowych” (1911 r.). Pośród owego „grona osób” wymienia Prus m.in. K. Jaczewskiego, ordynatora szpitala św. Józefa, i J. Vettera, przemysłowca-filantropa — postaci w historii Lublina wybitne — aczkolwiek listę pierwszych dobrodziejów i oddanych bibliotecy społeczników można by znacznie wydłużyć.

Wszystko to nie oznacza, że książnicy Łopacińskiego egzystowały się luksusowo pod ciepłym piernatem pozytywistycznej dobroczynności lub nawet później — w okresie Niepodległej. Zbiory wprawdzie rosły, wzbogacane m.in. cennymi nabytkami z biblioteki Ordynacji Zamojskiej w Klemensowie, biblioteki Prusa czy Kajetana Kraszewskiego (brata Józefa Ignacego), dostojniał status placówki, ale często brakowało gotowizny na szerszą działalność, no i ciągle były kłopoty z lokalem. Dopiero w czerwcu 1939 roku biblioteka przeniosła się do odpowiedniej, nowo zbudowanej siedziby w Domu Pracy Kulturalnej przy ul. Narutowicza (w których to pomieszczeniach i dzisiaj funkcjonuje). Tyle że za trzy miesiące wybuchła wojna...

Po wojnie też nie obyło się bez rozmaitych ewolucji statusu (na ogół korzystnych), tak że ostatecznie stanęła na Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego. Ze skromnej czytelni-niemowlaczki wyrosła nam oto 75-letnia krzepka matrona, rodzaj kombajnu bibliotecznego, który trudni się nawet działalnością wydawniczą, a księgozbiór wzrósł w tym

czasie z 11 tys. woluminów do przeszło 580 tys.

I tutaj zaraz wypadałoby powiedzieć, jakie to działy oraz oddziały wchodziły w skład biblioteki, ile filii dla dorosłych i dzieci ona liczy, co za cymelia znajdują się w jej magazynach. Ze od 1965 r. ma status biblioteki naukowej. Ze w 1977 r. otrzymała Medal Komisji Edukacji Narodowej, a w 1978 r. włączona została do Narodowego Zosbu Bibliotecznego...

Ale następnie — aby się nie zdawało, iż wszystko takie śliczne — trzeba by powiedzieć, że placówki terenowe działy często w opłakanych warunkach lokalowych, a i obiekt centralny przy ul. Narutowicza gwałtownie domaga się gruntownej rozbudowy (o co energiczna szefowa firmy, dyr. Zdzisława Piotrowska, już rozpoczęła batalię). Ze kadra wiejsko-gminna, choć przeważnie chętna, posiada niekiedy poważne braki w przygotowaniu zawodowym. Ze małeje wpływ nowości wydawniczych do bibliotek...

Tym razem jednak nie o blaskach i nędzach bibliotekarstwa naszego chciałoby się mówić, lecz o pani bibliotekarce (pani — bo zawód sfeminizowany). Mało placą, mało nowych książek przysyłają, z sufitu czasem kapie na głowę, a pani bibliotekarka trwa. Po prostu — jeszcze można spotkać ludzi, którzy serio wierzą w społeczne posłannictwo swego zawodu, chociaż to wygląda staroświecko w kontekście świata, który oszalał.

Maciej Podgóski

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje Marek Adam Jaworski z zespołem.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 13-16.

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 255-30. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4, PL ISSN: 0137-7103. Nr indeksu 36251. Adres redakcji: 20-029 Lublin ul. Skłodowskiej 2/1.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 273-35. Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin I, skrytka pocztowa 331; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 422 R-4

Taniec nad przepaścią

Fragmety książki Karola Zbyszewskiego pt. „Niemcewicz od przodu i tyłu”.

Wszędzie, gdzie zobaczył ładną mordkę — umiał się do niej Niemcewicz. U podkomorzego Boreckiego w Ławczynie przypuścił szturm do jego ślicznej żony, podkomorzyna pilnował dobrze i miodnym ani dał ćwierknąć.

Pechowy był pod względem flirtu Niemcewicz. Nie trafił do takiego np. Dulskiego, który cęstował gości co ładniejszymi dziewczkami ze swych wiosek i do konfederacji ich przymuszała niczym do picia. Kluczył po całej Ukrainie Czartoryski. Dwory drewniane, niskie, długie; meble proste, twarde, w skąpej ilości — ledwo dla księcia znajdowywali gospodarze trochę, inni nocowali w stodole — nie miało. Gościnność — rozumowano w Polsce — nie polega na podsuwaniu pianatów pod ząbek; karminono drogich gości niczym wieszprze przed Wielkanocą, pojono jak dromaderów przed wyruszeniem na Saharę.

Ceniono ludzi mogących dużo zeznać i wypić — ale tylko w towarzystwie. W samotności obowiązywała trzeźwość, jeśli kto pił, to chyba dla ratowania zdrowia. Wzorem był starosta cudynowski

Iliński, serdeczny druh hetmana Branickiego. Partrono nań powzięcie z szacunkiem; Iliński nóg swoich nie mógł obejrzeć, bo brzuszyko miał większe od kadzi, rano — przy śniadaniu — wypijał 6 butelek burgunda, przy obiedzie pół kwarty mocnej wódki i drugie 6 butelek wina, na kolację jeszcze 6 butli. Oczywiście przy okazji, w kompanii, Iliński pił dużo, lecz w samotności był wstrzemięśliwy i te 18 tyków starczyły mu na cały dzień — chyba, że poczuł wielkie pragnienie.

Z Granowa książe Adam postanowił odwiedzić swego kochanego przyjaciela — Szczęsnego Potockiego. Małymi kozakami wózkami puścił się w nielicznej asyście co koń wyskoczy przez stępy (...), przez polany usiane olbrzymimi dębami; spotkali paru chłopów z odrąbanymi lewą nogą i prawą ręką — byli to łeży ukarani hajdamacy za rzęć humaną. Kawalki te ludzkie śmieźnie kłocą przez step — wesołe i zadowolone, że mimo swych defektów mogą się jeszcze napawać słonecem i przestrzenią, ich ofiary były dokładniej uszkodzone.

Gnani strachem — widmo rzezi wciąż jeszcze unosiło się nad Ukrainą — dobrnęli po 9 godzinach do Tulczyzna. Na frontonie ogromnego, świetnego przez Szczęsnego wystawionego pałacu złożył się napis: „Obyź tylko wolni i szczęśliwi w tym domu mieszkał”.

Posępnie i nudno było w Tulczyźnie. Wszyscy dworzanie — wzorując się na Szczęsnym — łazili naderżnięci i napuszony. Sam Szczęsny od czasu gdy bez słowa sprzeciwu porzucił ojcu zamordować swą żonę Komorowską — popadł w melancholię. Potrafił godzinami beznamiętnie zapić się na jakiś

szedł na untyzm, na złość katolikom pojechał do Pezajowa z workami pieniędzy. Bazylianie przyjeź jego złoto, jego dziewczki i nawet jego z otwartymi rękami.

Potocki odbywał pilnie praktyki religijne walcąc cybuchem swe małżonkę, kanczugiem mniczów. Wiedział, że to dość żądliwe się modlili. Przyjąwszy Komunię św. wrócił zadowolony do Horodenki pewnie, że z Panem Bogiem nawiązał znów poprawne stosunki. Dziwił jego też były rade z porządniejszą rekolekcją na pamiętkę których przecz stosu medalików, poprzywozły Bazylianiątka z zarodku.

Oblad u Potockiego był po starostwie — po trawy zaprawione szafrem; do stołu usługiwało 6 kuszych dziewczuch w forsetach; lubowano się w Polsce w obfitych kazałkach — prawdziwy znak — jeździł tylko spasionymi koniami i nie dotknąłby nigdy chudej kobiety.

Rozmawiano wyłącznie o czasach saskich, jedynych — zdaniem Potockiego — przywoitych i przyjemnych, wiedzą można było pohulać umiano — ocenić. Opowiadał z uśmiechem jak raz dla faocelji ubli Żyda należącego do sasiada, a gdy szlachciura-aknera stękał, że stracił najlepszego młynarza, on posłał mu w prezencie wóz drabiniasty pełen chalcinury z listem: „Za 1—50”. Albo jak zalegającego z dzierzawą arendarza rozebrał do naga i do chlewa między wieprze wepchnął — skutek był doskonały, bo kahał wnet uiszczyć na letródę; albo jak obiecał kiedyś dwóm chłopom wolność i tuż temu, który więcej kilów wytrzymał: jeden skonał przy 263-cim uderzeniu, skoczono — obwołał drugiego zwycięzca, ale się okazało, że

przedmiot. Skryty, uparty, leniwy, szalenie zarozumiały — wcale nie uważał za wariata swego sąsiada, wojewody bractawskiego, księcia Jabłonowskiego, który kazał wymalować obraz przedstawiający go zdejmującego kapelus przed Matką Boską na co Ona z wyrzutem: — Mais couvrez vous donc mon cousin! Matka Szczęsnego miała bzika na punkcie cnoty; za usmiech zalotny skęlała rozgarni swe panny dworskie, szpiegowata je po nocach. Wychowanie w tym duchu syna wydało zwykle rezultaty — gustował tylko w prostytutkach, posłubił kolejno Jozefinę z Miszuchów i Greczynkę Wittową — obie puszczaly się z każdym, co na nie miało ochotę.

Szczęsny nie grał w karty, bo odkąd beknał 200 000 dukatów zmieścił się do tej rozrywki, nie nie czytał, nie pisał, nie robił. Lubił jeść pierogi hreczane ze śmietaną, jeździć konno, patrzeć jak ogrodnicy pracują. Parę dni zeszło Czartoryskiemu na zwiedzaniu folwarków, stadnin, obór... Tulczyzn był świetnie zagospodarowany i dawał duże dochody. (...).

Powrotną drogę wytknął książe Adam przez Galicję. W Satahowie, przekraczając granicę, Niemcewicz uronił porcję łez — pierwszy raz widział namacalnie skutki rozboru. Wszyscy się dziwili, że o takich drobniach pamięta.

Sporty sznau Galicji należał do Czartoryskich: Oleszyce, Wysock, Pelkinie, Bukaczowce, Dorosław, wieszczyna, Brzeżany, Sieniawa... niestowoscość te, jak cała Galicja, swym ubóstwem, brudem i brakiem kultury wskazywały wyraźnie, iż są rdzennie polskie.

Chłopi trzymali bydło w ehacie, gnoj zascięli

Własnie przypredrono na dziedziniec grupkę chłopów w kajdanach, poddanych księcia, którzy mając dość bydlęcego życia uciekli na Woloszczyznę; pojmano ich na granicy. Książe Adam, miał kazać im złupić skórę, rzekł łagodnie: — Nie podobna wam się u mnie, idście z Bogiem, jesteście wolni!

Natychemiast, z właściwą prostakom konsekwencją, chłopci padli księciu do nóg błagając, by pozwolił im zostać w Brzeżanach, bo nie ma szczęśliwszej sytuacji, jak być poddany u tak dobrego pana. Ledwo książe wyjechał, basty ekonomów zruszyli ich do gruntownej rewizji tego naiwnego poglądu.

Pochlipał Karpinski z okazji tak czulej sceny, ale wnet się nastrząsł. Stał tuż obok kreishauptman Gotschalk, kacyk prowincjonalny, który z wyprowadzającą i upudrowaną głową, z gwóźdźkami w lokach i gębie — czekał na chwilę rozmowy z księciem. Austriacka pała, tutaj pokorna i uniżona względem magnata, była arogancka i bezczelna wobec skromnych obywateli jak dzierzawca z Dobrowod. W największe rozstopy kazał Gotschalk pod groźbą ogromnych kar pieniężnych, przyjeżdżać kilkanaście mil do swego urzędu. Chękali nań parę godzin w przedpokoju, wychodził wreszcie w szlafroku, wyrzucił ostro, że smia się dnieć w czapkach, kiedy portret cesarza Józefa widzi na ścianie, pytał, czy rozporządzenia władz wykonują sumiennie.

— Oczywiście!
— No to możecie wracać do domu, chciałem się tylko upewnić...
Złuszcza nienawidniła urzędników austriackich i

podlegę — nie wywołano go nigdy w pole, by nie zepsuć gleby; wszyscy mieli koftuna na głowie — nie obcinali go, by nie umrzeć natychmiast.

Z Brzeżan książe Adam pojechał do Mikola Potockiego, starosty kaniewskiego, który na złość bliskim krewnym Jemu zapisał niemal całą sukcesję. Z ciekawością przyglądał się Niemcewicz sławnemu staroście: ogromny, czerstwy, z sielocem aż za ucho, choć lipiec — w woiwanym tubule, leż kobiet gwałcił on w życiu! Tuż obok domu stał drugi, niższy, długi seraj w jedne pierści obficie zapatrzony, starosta zaglądał tam co dzień i mimo swych 70-ciu lat zawstydzilby jeszcze królka. Był zonyaty z córką ekonomia, lubił ją bić i kopać w twarz.

Starym babom kazał Potocki wiazić na gęste drzewa i kukać — on zaś cieniłem strzelał im w zadek śmiejąc się do rozpuku, gdy z wrzaskiem spadały. Bardzo tchórzliwy — nigdy nie miał pojedynku, ale bezbronnym ludzi zabił kilkadziesiąt, w chwilach wielkiej pasji uspakajało go to znakomicie.

Z tym wszystkim starosta był, wiecie pobojny i w obawie, że Pan Bog nie zna się na zartach i za te figliki żywi doń urazę — postanowił Go udobruchać wybudowaniem kościoła. Sprawycał więc do Horodenki księży misjonarzy, wyznaczył im 30 000 zł turyty, mularze wzięli się do kielinu.

Wszystko zepsuła spowiedź wielkanocna; ksiądz usłyszał, że od ostatniej pokuty starosta znów spodził czworo a zglądził troje, nie dał mu rozgrzeszenia, co go wprawilo w taki gniew, że kazał na wpol już wzniesiony kościół rozwalić, misjonarzy batami wysięc i won przepędzić. Sam prze-

raciła się szatańsko Gdy rząd wyasnęwał nie- n adze na bud w, sowa w (szale) ziem nie diwali n zyciemerom duże latowaci, ry — wrzaw planum — prowadzili gościnnie zdatą od ich rezydencji, w ten sposób urzędnicę bądąc szosą byli porzawieni widoku dworu i jego właściciela!

Książe Adam wziął Karpinskiego do gabinetu i odczytał mu swą rozprawę o euak...

Karpinski bez żenady wytknął co grubsze błędy. Zadrwiło to przywyczonego tylko do pochwał księcia, ale rychło zrozumiał powód tej krytyki: — Jesteś młody — rzekł — gust masz niewybiony, musisz przyjechać do mnie, do Warszawy — wyuczajemy twój talent.

Ponieważ zbliżał się czas sejmu książe podrobił wal z całym dworem do Warszawy. (...) Niemcewicz wstał do wolnomularzy. Modą wymagała tego stanowczo, nie należało do mularstwa było w równie złym tonie jak... nie chodźcie do kościoła lub nie mieć kochanki.

Mularstwo nie kryło się wcale, siadając do powozu mówiono furmanowi: Do loży Deszkonałej Tajemnicy! — a on wiozł prosto na Senatorską. W dniu wspólnego ucztowania wystawoło przed lożami po kilkadziesiąt karęt — każda z herbem swego właściciela, odznaki masonskie noszono widocznie jako ordery, innej tepe mowy, wygłoszone na posiedzeniach, były drukowane.

Mularzami byli: Ignacy i Szczesny Potoccy, Kazimierz Sapieha, Lubomirski, Mozzyński, książe Adam, nawet Stanisław August podobnie jak jego koleżdy po fachu: Jerzy angielski i Katarzyna. (cdn)

Barbara Radziwiłłówna

Zbigniew Kuchowicz

Fragmety:

Zygmunt Augusta spalała namiętność do Barbary. Jego stosunek do niej stawał się zresztą intrygantem. Wszystko wskazuje, że nasza bohaterka nie tylko satysfakcjonowała, lecz również zainteresowała króla, stawała mu się coraz bliższa. [...] Obowiązek, mimo rozterek Augusta, wyznawali tę samą rolę. Mimo różnic wrosła w podobnym klimacie emocjonalnym. Ich osobowości posiadały wiele cech podobnych. To dążenie do osiągnięcia szczęścia, pełni życia, ta intensywność prężyć zbliżała ich do siebie, czyniła zrozumiałymi i bliskimi. Pokoleń nie Barbary i Augusta było inne niż pokolenie ich ojców, wrosło w odmienne klimacie kulturowym, od dzieciństwa wiedziało o istnieniu Ameryki, interesowało się reformacją, delektowało twórczością artystyczną, było bardziej chłonne, wykształcone, liberalne. August na Litwie dostał się pod wpływ Barbary i Radziwiłłów, na tym tle doszło do rozdziału z jego rodzicami, a szczególnie z matką. Być może odegrał tu jednak rolę także swego rodzaju spór pokoleń. Stojąca przy nim Barbara mogła go utwierdzić, czy choćby tylko

mimo woli dopinguwać do pewnych poczynań. Jest pewnym, że konfliktowa sytuacja z rodzicami zespoliła jeszcze mocniej Zygmunta z Barbarą w ramach nie tylko związku osobistego, lecz właśnie wspólnoty nowego pokolenia, przeciwstawiającego się w pewnej mierze ograniczeniom i zakazom starszej generacji.

Zbliżało ich ocywiście samo współzycie cielesne. Należy brać pod uwagę także specyficzny klimat tego związku. Inteligentna i znająca mężczyznę Barbara potrafiła dostarczyć słabości i upodobania Jagiellończyka. Zdaje się, że wcale się nie kryła ze swą przeszłością, partner był w tych sprawach wyrozumiały, stał może na stanowisku, że jeśli jemu wolno było mieć przygody miłosne, to także samo prawo miała i Barbara. Jest prawdopodobne, że absolutnie nie zniechęcały go wiadomości o jej przygodach, których nie szczędzili mu dworscy plotkarze. Miścili się one w jego mentalności, stylu. Trzeba podkreślić, że wiązała ich nie tylko namiętność, pożądanie, lecz także brak jakiegokolwiek skrepowania, śmiałość, pieszczoty, nawet wyrafinowanie. Swoboda i doświadczenie Radziwiłłówny stanowiły w jej związku z Augustem nie minus, nie powód do skrepowania i tłumaczeń, lecz właśnie walor zalet. Sprawy te stały się zrozumiałe w aspekcie modelu obyczajowego, jakiemu holdował August. Mężczyźni renesansowej elity kulturalnej bardzo często poszukiwali mocnych podnieć i wrażeń, delektowali się lubieżnością, wyrafinowaniem, perwersjami nawet. Wystarczy zapoznać się z pracami Artina, Ariosta, Brantome'a, by stwierdzić, jak wyszukane, wręcz wyuzdane były ówczesne gry miłosne, jak lubowano się w

bezwstydzie i drastycznościach. Wcale nie obecne czasy wymyśliły pornografię, sadomasochizm i inne zjawiska analizowane przez współczesnych nam lekarzy, psychologów i socjologów, w pewnych środowiskach i kulturach sprawy te były znane i szeroko praktykowane od wieków. Oddziaływanie tych wzorców, tego klimatu obyczajowego kształtowało własne erotyczne upodobania Zygmunta Augusta, który poszukiwał wymyślnych wrażeń nie tylko w alkoowie, lecz we współzyciu towarzyskim, codziennym. Barbara była zaś własnie swobodną i inteligentną damą, i mniama należała do intymnych sytuacji nie była wulgarna, lecz podniecająca, nie prostacka, lecz wyrafinowana, nie szorstka, lecz przyzmiłna. Taką musiała być podczas towarzyskich zabaw, biesiad, wojaży.

[...] Beztróskie współzycie naszej pary nieco zamęcił fakt przypomnienia królowi, że jest żonaty, że powinien sprowdzić małżonkę do Wilna. Można się łatwo domyślić, że wywołało to jego zdecydowane niezadowolnienie. Po długich konferencjach, pod mocnym naciskiem posłów cesarskich, doszło wreszcie do tego, że August sprowdził Elżbietę, zwaną w Polsce Halską, do Wilna. Okazał się wobec niej kurtuzyjny, zajął się zorganizowaniem jej dworu oraz zapewnieniem opieki lekarskiej. Na tym się jednak skończyło. Władca nie chciał współżyć ze swą flegmatyczną żoną, ani myślał wyrekać się rozkosznych przeżyć z Barbarą. Królowa wiedziała o tym, niemniej próbowała udawać, że wszystko układa się dobrze; pisała uspokajające listy do rodziców, w istocie zaś dawała smutek i rozpacz. Znacząca tych spraw Ludwik

Kolanowski pisał: „Pożycie jej z mężem w Wilnie nie było żadną miarą wynagrodzeniem krzywdy, jaką była dla niej niewątpliwie caloroczna przesłano z nim rozłąka. Stanowiło ono raczej nowe udręczenie, dodawało do dawnych ran świeże. Młody król nadal z żoną nie żył — a na wszelkie w tym kierunku uwagi odpowiadał chłodno i szorstko, że zna swe obowiązki i wie, co czynić”.

Barbara mogła triumfować, w pobitym polu znielazła się bądź co bądź córka rzymskiego króla, mająca opinie niewiasty cnotliwej i świętobliwej. Okazało się, że uroczą i bynajmniej nie cnotliwą wojewodzina pokonała „anioła”, rozwiła resztki zdużenia i nadziei młodzieńkiej, znoszącej coraz to nowe upokorzenia rywalki. Niedoświadczona i zalakniona Elżbieta nie mogła się z nią równać, nie umiała, nie potrafiła tak kochać jak Barbara.

Królowa marniała toczona zgrzyzotą i nękającą ją epilepsją. W kwietniu i maju 1545 roku powaliły ją ciężkie ataki chorobowe. Później wskazywał jej stan się poprawił, sądono, że młodzież zatrudniła się nad chorobą. Stąd też 9 czerwca Zygmunt August mógł raczej spokojnie opuścić swoje państwo, udając się z wizytą do rodziców. Ledwie jednak wjechał do Krakowa, przybył goniec donoszący, iż w dniu 15 czerwca królowa Elżbieta zmarła. Zygmunt August przybrał wraz z dworem żalobę, lecz nie okazywał głębszego żalu. Powrócił jednak oczywiście do Wilna, gdzie 24 sierpnia uroczyste pochował przedwcześnie zmarłą, ledwie dziesięćlatoletnią żonę.

Nagły zgon młodzieńkiej królowej spowodował pogłoski, krążące tak w kraju jak i za granicą, że Elżbieta została otruta za sprawą Radziwiłłówny. Było to jednak oszczerstwo; wojewodzina, ani zresztą nikt inny nie przyspieszył śmierci Austriaczki. Jest tylko prawda, że zgon Elżbiety porwał Barbarę już bez żadnych osłonek za władnąc królem, by przy nim jeszcze częściej. W tym celu zamieszkała teraz w Wilnie, w dworze radziwiłłowskim, znajdującym się w bezpośredniej bliskości królewskiego zamku, w którym rezydował jej utytułowany kochanek, i wraz z nim wypadał w wir dworskich zabaw. Właśnie ze względu na kochankę król organizował nie kończące się ucztę, maskarady, turnieje, rozrzucając garściami złoto. Sprowdzał wielkie ilości węgierskich win, zamorskich przypraw, francuskie sukna, weneckie zwierciadła. Uważano, że wydatki dworskie przekraczają istotne potrzeby, że król trwonił posąg swej zmarłej żony. Młodzi kochankowie, otoczeni równie młodym i beztróskim dworem, nie chcieli jednak liczyć złota ni godzin; czas wyznaczał im zabawy i spotkania.

[...] W pałacu wileńskim Zygmunt August zaczął sporządzać tajne przejęcie, które umożliwiał mu kontakty z kochanką. Współczesna kronika tak o tym pisze: „A król począł do niej chodzić nocą, kazawszy sobie zrobić przejęcie z zamku do jej dworu, a bywał u niej często i było o tem słychać po całej ziemi polskiej i litewskiej”. Dziewiętnastowieczni historycy z powagą zapewniali, iż wizyty miały niewyłącznie idylliczny i „romantyczny” charakter, że król odwiedzał Barbarę w pełnym kwiatów ogrodzie, że szeptał słowa miłości, że nad

spotkaniami tymi czuwała mieszkająca z Barbarą matka. Pisano: „melancholijny charakter Augusta i łagodność, do marzenia i samotnych dumań skłonna, nie usposobienie wojewodziny, wykluczały z tych schadzek wszelką zmysłowość i namiętność”. Tego rodzaju opinie można położyć między bajki, w istocie było oczywiście inaczej. Matka zamieszkiwała wprawdzie z Barbarą, lecz nie myślała przeszkadzać zakochanej parze; odwrotnie, wszystko wskazuje na to, że ułatwiała Zygmuntowi Augustowi kontakty ze swą córką.

Pewne głosy zarzucały kasztelanowej omal rajfurzenie Barbarą, niekiedy historycy snują znów przypuszczenia, że nawet sama chciała romansować z królem. Są to tylko supozycje, jest jednak pewnym, że matka wojewodziny nie czyniła najmniejszych przeszkód w prowadzeniu królewskiego romansu.

[...] Barbarę i Zygmunta łączyły nie tylko zmysły, nie tylko pożądanie seksualne. Stali się sobie bliscy, potrzebni, nierastąpieni. Po pewnym czasie romans namiętnego króla z przyszłową „wesołą wdówką” przemienił się w tliwą, gorącą, wielką miłość. Stalo się to w trudnym do określenia, chyba nawet przez nich samym, momencie, bez wątpienia już jednak w 1544 roku, możliwe, że jeszcze za życia Elżbiety. Jak wiemy, zarówno Barbara jak i Zygmunt wykazywali potrzebę miłości, okazywania opieki i tliwości. Ich dojrzałość, a równocześnie wrażliwość pozwoliła, by dostrzeżli, że związek jest inny niż dotychczasowe przygody, że charakteryzuje go wielka czułość, że daje im po prostu szczęście. Barbara przestała interesować się innymi mężczyzmi, Zygmunt po-

rzucił inne kochanki. Król przestał darzyć głębszymi uczuciami tak bliskich mu dotąd rodziców, [...] jest jednak rzeczą pewną, że Barbara tak pochłonięta jego uczuciami, iż miłość rodzinna stała się dla niego mniej ważną. Istnieją podstawy do mniemania, że podobne zmiany nastąpiły także u naszej bohaterki, wiele wskazuje na to, że w tym czasie zmieniła się także jej stosunek do matki. Kochał się przede wszystkim tylko w sobie, nie była to jednak miłość nazywana egoizmem we dwoje, dostrzegali innych ludzi, nie czuli się odizolowani, wyobcowani od społeczności. Znamienne, że ich związek z każdym rokiem zacieśniał się, pogłębiał. Jedni się wrażliwie, że moment seksualny nie był w nim już najważniejszy. W późniejszych czasach zdarzało się, iż byli rozłączeni przez długie miesiące, a przecież ich uczucia nie ulegały najmniejszej zmianie. Wydaje się, że romans ten stanowi przykład wielkiej miłości erotycznej, nie zważającej na konwenanse, plotki, opinie.

[...] W tym czasie nasza para nie myślała o małżeństwie, o zalegalizowaniu swego cudownego romansu. Zygmunt August zastanawiał się nad sytuacją, lecz zdawał sobie sprawę, że związek małżeński z Barbarą napotkałby olbrzymie opory ze strony rodziców i opinii polskiej, że będzie kolizją z interesami dynastii, a może nawet państwa. Ponieważ obowiązkami króla było jednak zapewnienie ciągłości dynastii, ponieważ, jak wiemy, był wdowcem, więc musiał rozglądać się za kandydatką na legalną małżonkę. W tym celu wysłał w końcu grudnia 1546 roku swego dworzana Lasotę na dwory zachodnich stolic, by orientować się w możliwościach ewentualnego ożenku.

[...] Wszystkie fakty świadczą, że Barbara nie przywiązywała wagi do formalnego zalegalizowania związku, nie myślała o małżeństwie. Wynikało to z jej postawy, osobowości. Nie ceniąc zaszczytów i splendorów nie brała pod uwagę faktu, że jej romans stwarza dla niej możliwości królewskiej kariery. Z drugiej strony nie uważała, by pozycja konkubiny królewskiej była czymś uwielbianym. Ponieważ w Wielkim Księstwie spotykano się wiele małżeństw żyjących ze sobą bez formalnego ślubu, całą sytuację uważała za całkowicie naturalną. Wszystko wskazuje, iż wysłała jej obecność i miłość Augusta była po prostu, po ludzku szczęśliwa.

W postępowaniu jej nie można dostrzec wyzowania, podwójnej gry, nie czyniła najmniejszego nacisku, by zmuszać ukochanego do małżeństwa. Zdawała sobie sprawę, że najlepszym sposobem na zapewnienie sobie jego uczucia jest jej miłość, a równocześnie powolność i uległość. Stąd też była zawsze chętna, gotowa na każde jego skinięcie, nie stawiała warunków, nie czyniła oporów. Jest zrozumiałym, że spotkania z nim dostarczały jej cudownych wrażeń, że była stroną nie tylko dająca, lecz biorącą. Nie czyniła więc najmniejszych trudności i trybulacji fochów, które okazywała na przykład późniejszej Marysielka wobec zakochanego w niej Jana Sobieskiego. Nie można wykluczyć, że skrycie, może tylko podświadomie, marzyła o ślubie, o najpełniejszej łączności, trwałym, triumfalnym politycy ze swym utytułowanym kochankiem.

owos. 2552/1982/4